



## ANDRZEJ LINERT

Uniwersytet Jagielloński

ORCID: 0000-0002-0399-1757

### Strzelec śląski

Poznałem go wieczorem, późną jesienią. Zjawił się u mnie w domu z telegramem. Ku mojemu zdziwieniu rower, na którym przyjechał, pozostawił na chodniku, poza ogrodzeniem na zewnątrz. „Nie boi się Pan, że może go ktoś zabrać? To tylko moment!” – powiedziałem. Spojrzał na mnie z uśmiechem i beztrąsko odparł: „Mój rower znają w okolicy wszystkie chłopaki. Żaden się nie odważy. Oni wiedzą, że to jest mój rower!”. Spojrzałem na jego pewną siebie i uśmiechniętą twarz. Był roslym i silnym mężczyzną. „Jestem na lichej emeryturze i dorabiam sobie na pocztę, rozwózając telegramy” – oświadczył. Od razu zauważyłem, że chętnie i szczerze dzieli się swoimi doświadczeniami. Zapytałem go więc, czy długo pracuje już na pocztę – wszak widziałem go po raz pierwszy. Spojrzał na mnie i zaczęliśmy rozmawiać jak dwaj dobrzy znajomi. Z czasem jałem notować jego relację. W ten sposób powstał ten tekst – oparty na faktach autentycznych, odwołujący się do doświadczeń pokolenia Ślązaków, którego dramatyczne i tragiczne losy stanowią do dzisiaj niezabliźnioną ranę.

Na imię miał Feliks. Był synem powstańca śląskiego. Ojciec jego urodził się w Kolonii Gosławickiej pod Opolem – dzisiaj to już dzielnica tego wojewódzkiego miasta. Matka też stamtąd pochodziła. Tam zresztą do dzisiaj prawdopodobnie mieszka jego rodzina. Z dzieciństwa pamiętał, jak na Boże Narodzenie ojciec zabierał go i jego braci do Domu Powstańca w Katowicach na Placu Wolności (róg

ul. Sokolskiej), zanim w 1938 roku otwarto nowo wybudowany Dom Powstańca Śląskiego przy ul. Jana Matejki 3. Wujek opowiadał mu, że ojciec bronił Królewskiej Wsi w 1919 roku, wskutek czego policja niemiecka, kiedy żenił się dwa lata później, chciała go aresztować za agitację na rzecz Polski. Dlatego też po ślubie oboje z matką przenieśli się do Żor. Ojciec jego początkowo otrzymał posadę komornika, a potem pracował w katowickim ogrodzie zoologicznym, mieszczącym się przy ul. Bankowej<sup>1</sup>. Były tam m. in. dwa niedźwiedzie, lew i małpy. Jeszcze krótko po wojnie było tam ZOO.

On urodził się w Żorach, ale gdy ojciec zmienił pracę, to rodzina zamieszkała w Katowicach-Bogucicach. Tam zmarła jego matka. Miał wtedy sześć lat. Był najstarszy. Pamiętał, jak jednego dnia matka zawołała go do siebie, pobłogosławiła, powiedziała: „Dzisiaj w nocy umrę” – i zmarła. A on, jak to dziecko, niewiele się tym przejmował. Jego dwaj młodszy bracia mieli cztery i trzy lata. Po wojnie jeden wyemigrował do Australii, a drugi do Kanady.

Po śmierci matki ojciec oddał ich do sierocińca, do sióstr św. Jadwigi w Bogucicach<sup>2</sup>. Na stałe przebywało tam około 200 dziewcząt i 500 chłopców. To był wielki sierociniec. Podopieczni mieli własną szkołę. Jej kierownikiem był niegdysiejszy kapitan Wojska Polskiego<sup>3</sup>, a nauczycielami wyłącznie siostry zakonne. Gdy po wojnie, w 1947 roku, wrócił z Anglii, to pojechał odwiedzić sierociniec. Wtedy jeszcze siostry obecne były na miejscu, ale parę lat później narzucono im tzw. Komitet Opiekuńczy, a w końcu zmieniono charakter placówki, uniemożliwiając wychowanie i kształcenie młodzieży w duchu katolickim. Przed wojną jego wychowawczynią była siostra Magdalena, która nierzadko lała go kijem i trzcina. Ale on po latach był ojcu wdzięczny. Po śmierci matki on i jego bracia pozostali bez opieki. Wałęsali się w okolicach kopalni „Katowice” po znajdujących się tam gliniankach, opustoszałych wyrobiskach, biedaszybach i dziurach po wapnie. W sierocińcu to wszystko się skończyło. Zaczęła się nauka.

Ojciec mojego rozmówcy zmarł na zapalenie opon mózgowych w 1932 roku, zaledwie rok po śmierci matki Felka. Chłopiec i jego bracia pozostali sami. Pogrzeb ojca był wielką manifestacją. Przybyli przede wszystkim powstańcy śląscy. Pochód szedł szerokością całej ul. Warszawskiej aż do Bogucic i tam, za kościołem, ojciec został pochowany obok matki.

W sierocińcu każdego dnia wstawano o szóstej i wszyscy szli do kaplicy. Mszę odprowadzał ksiądz Smandzik. On jeden grał z wychowankami w piłkę na placu apelowym. Poza tym panował straszny rygor. Nauka odbywała się od 8.00 do 14.00. Śniadania i obiady były bardzo skromne. Masła i cukru młodzież nie widziała pra-

---

<sup>1</sup> Właściwie Miejski Ogród Naukowy, założony w 1922 roku w Katowicach przy ulicy Bankowej 7, po II wojnie światowej przekształcony w Miejski Ogród Zoologiczny w Katowicach (funkcjonował w latach 1946–1957). Jego dyrektorem był Tadeusz Bandur, jednocześnie zasłużony księgarz katowicki, a zarazem pierwszy dyrektor Ogrodu Zoologicznego w chorzowskim Parku Kultury i Wypoczynku.

<sup>2</sup> Zakład opiekuńczo-wychowawczy w Bogucicach, założony w 1858 roku z inicjatywy ks. Leopolda Markiefki, od 1923 roku siedziba Zgromadzenia Sióstr św. Jadwigi.

<sup>3</sup> Kierownikiem Szkoły Powszechnej fundacji im. ks. Markiefki w 1933 roku był Józef Ponikło, a od roku szkolnego 1935/1936 Marcin Mazurski (H. Domagała, *Fundacja opiekuńczo-wychowawcza imienia ks. Leopolda Markiefki w Katowicach-Bogucicach w latach 1858–1990*, Katowice 1990).

wie wcale, nie podawano również owoców. Jabłek było tyle, ile udało się ukraść z ogrodu. W sierocińcu znajdował się sad z gruszami, jabłonią i ogród warzywny. Wychowankowie sami go plewili i okopywali. Wszystkiego ich uczono: pokazywano, jak się sadi truskawki, jak się flance rozsadza. O ósmej wieczorem gaszono światło i wszyscy musieli iść spać. W sypialni mieściło się sto łóżek. Każdy miał siennik ze słomą, którą co jakiś czas musiał wymieniać. To była paskudna robota. Codziennie też wycierano salę na mokro, a potem na sucho. Korytarze były pastowane. Nie było żadnych sprzątarek.

Siostry miały własną kuchnię, a młodzież własną. Cukierki rozdawano tylko na Boże Narodzenie – i może właśnie dlatego Feliks do końca życia zachował zdrowe zęby. Na śniadanie każdego dnia młodzież dostawała owsiankę i kromkę chleba ze smalcem, a o godzinie dziesiątej dodatkowo kromkę chleba z marmoladą. Na obiad najczęściej była grochówka lub kapuśniak, a drugie danie podawano tylko w niedzielę. Na kolację jadło się chleb z salcesonem albo z serem, dlatego też czasami wszyscy byli głodni. Jednak po latach, już jako dorosły mężczyzna, docenił panujące w ośrodku warunki.

Jego największym marzeniem była ucieczka z sierocińca. W zimie uciekał na górkę do parku przy kopalni „Katowice”. Do butów przywiązywał drewniane deseczki, pod które zakładał, podobnie jak inni, drut, tworząc w ten sposób łyżwy. Siostry, gdy dowiadywały się czasami, że dzieci były w mieście, sprawiały im lanie. Raz siostra Jadwiga tak nieszczęśliwie uderzyła w głowę jednego chłopca, że dzieciak stracił oko. Początkowo tylko ropiało. Wzięli chłopca do szpitala, a gdy wrócił po trzech miesiącach, to zamiast oka miał szkiełko. Kubik się nazywał. Był z jego klasy. Pamiętał, że strasznie ostra była ta siostra Jadwiga. Wszyscy okropnie się jej bali. W 1945 roku, jak przyszli Rosjanie, to oddali pod opiekę do sierocińca również swoje rosyjskie sieroty. To były chłopaki z różnych środowisk, zaniedbani, samotni, z rodzin bandyckich, prawdziwe dzieci wojny. Niektórzy mieli już po szesnaście lat. I jeden z nich zasztyletował siostrę. W nocy, gdy spała, wbił jej nóż w plecy. Siostry spały w tej samej sali, co wszyscy, w rogu za zasłonami. On tam w nocy wszedł i ją zabił.

Po skończeniu siódmej klasy w lipcu 1939 roku siostry oddały go na naukę zawodu kupieckiego. Ubrany w śliczny nowy mundurek pojechał do Sosnowca do miejscowego biznesmena, który miał sklepy z galanterią skórzaną nie tylko w Sosnowcu, ale i w Katowicach, Poznaniu, Warszawie i Krakowie. Główne jego warsztaty znajdowały się w Sosnowcu. Nazywał się Piechocki<sup>4</sup>. W Katowicach miał sklep przy ul. Warszawskiej, naprzeciwko Banku Rolnego, tuż niedaleko gmachu Teatru im. Stanisława Wyspiańskiego. Jak Felek jechał pierwszy raz do tego Piechockiego, to siostra powiedziała mu tak: „Jak przyjedziemy do Sosnowca, ładnie się ukłoń, powiedz: niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i pocałuj go w rękę. Będziesz miał piękną pracę”. No i tak zrobił. Piechocki, gruby i z cygarem w gębie, siedział w wielkim fotelu skórzanym. „No, pokaż się” – powiedział. Wtedy chłopak musiał podejść do niego. W sierocińcu nie wolno było nosić włosów. Ogolony był więc na głacę. Właściciel sklepu obejrzał go ze wszystkich stron i powiedział: „Idź na Warszawską w Katowicach do kierownika. Tam będziesz pracował”. Dostał trzydzie-

<sup>4</sup>Zapewne Stefan Piechocki, właściciel pracowni wyrobów skórzanych i przyborów podróżnych.

ści złotych pensji na miesiąc. Musiał przychodzić na siódmą rano i do szóstej wieczorem był w sklepie. To, co zarobił, oddawał siostram. Za to kupowały mu buty i odzienie, a ponadto nadal otrzymywał wyżywienie i nocleg. Z dniem pierwszego września miał iść do liceum handlowego, ale wybuchła wojna i zamiast iść do szkoły, pozostał w sklepie wraz ze swoim kierownikiem.

Któregoś dnia o mały figiel nie zginął. W Katowicach ujawniła się bowiem tzw. piąta kolumna<sup>5</sup>. Tuż przed teatrem zgromadziło się pełno Niemców z hitlerowskimi opaskami na rękawach i na własne oczy widział, jak strzelali. Na ul. Warszawskiej powstało olbrzymie zamieszanie. Razem z kierownikiem uciekli na czwarte piętro kamienicy. Tam ktoś otworzył im drzwi i zabarykadowali się. W mieście była jeszcze wtedy polska policja. Niemcy musieli więc pozostawić ich w spokoju. Całą noc siedzieli zabarykadowani. Rano, gdy zeszli na dół, to cały sklep był już wyszabrowany, a z niektórych okien na Warszawskiej zwisały niemieckie swastyki. Wrócił więc do swoich siostrzyczek. Nie przypuszczał jeszcze wtedy, że z wybuchem wojny skończyło się nagle jego dzieciństwo.

Po miesiącu do sierocińca przyjechało bowiem Gestapo i nakazało wszystkim chłopcom i dziewczynom od lat piętnastu do dwudziestu, w ramach tzw. akcji wywózki na roboty do Niemiec, zgłosić się do Arbeitsamtu<sup>6</sup>. I tak w październiku 1939 roku został wywieziony do Niemiec. Po niemiecku nie mówił ani słowa. Miał zaledwie piętnaście lat. Dostał się w okolice Buxtehude, to jest około trzydzieści kilometrów od Hamburga, do wioski Schwiederstorf. Jego gospodarz miał traktor, dwa konie, trzydzieści krów i sto świń, trochę lasu, łąki i dużo pola. Nazywał się Heinrich Corsch, a jego ojciec miał na imię Johann. Ten był już stary. Żona Heinricha, Mimi, pochodziła z bogatej rodziny ziemiańskiej. Jej ojciec miał trzysta koni, dwieście krów i zatrudniał prawie stu ludzi. A Corsch miał tylko jego jednego. To byli rodowici Niemcy. Dla nich dyktatura hitlerowska w zasadzie nie budziła wątpliwości i nie podlegała dyskusji. Nieraz zastanawiał się, czy każdy naród stać byłoby na taki bezkrytycyzm i na takie bezwzględne posłuszeństwo wobec władzy.

Jego gospodarze byli ewangelikami, a Heinrich, który był wychowankiem Hitler-Jugend<sup>7</sup>, pełnił we wsi funkcję Ostgruppenführera SA. Przykładowo, jeśli ktoś chciał świnie albo krowę zabić, to najpierw musiał dostać od niego pozwolenie. On miał wszystkie pieczętki. Gdy mój rozmówca do nich przyjechał, to mieli już małego synka. Miał wtedy roczek.

Felek zamieszkał w małym i nieogrzanyim pokoiku przy koniach. Było tam łóżko, szafa, lustro i zimno jak w psiej budzie. Całymi nocami płakał. Jego utracony Śląsk, a w nim jego sierociniec, jawił mu się jak mitologiczny raj. Zewsząd otaczała go zima, mróz, niezrozumiała mowa i obcy, wrogo i niechętnie nastawieni do niego ludzie. Jego przerażenie potęgował strach, że już nigdy nie wróci do Polski. Pytania dotyczące jego przyszłości pozostawały bez odpowiedzi. W tych pierwszych

<sup>5</sup> Określenie używane w odniesieniu do wrogów wewnętrznych, dywersantów, sabotażystów i szpiegów.

<sup>6</sup> Arbeitsamt – w czasie okupacji niemieckiej urząd zajmujący się egzekwowaniem narzuconego Polakom przymusu pracy oraz wysyłaniem pracowników na roboty przymusowe do Niemiec.

<sup>7</sup> Hitler-Jugend – niemiecka paramilitarna organizacja młodzieżowa, związana z partią nazistowską, działająca w latach 1926–1945.

zimowych miesiącach 1940 roku w Niemczech poznał gorycz samotności i bezsilności niewolnika zdanego na łaskę i niełaskę niemieckiego pana. W swej desperacji bliski był obłądu. Jego jedynym sojusznikiem był czas. Powoli mijał strach i rozpacz. Latem 1940 roku w wiosce pojawił się nowy niewolnik. Pochodził z Flandrii. Przebywał jednak bardzo krótko, zaledwie trzy miesiące. Po nim przyjechał Macedończyk ze Skopje Andrej Lazarovič. Mieszkał w obozie w Ohlsdorfie. Rano niemiecki żołnierz przyprowadzał go do pracy, a wieczorem zabierał. Jego jedynym marzeniem była chęć przeżycia wojny. Dla tego jedynego celu gotów był uczynić wszystko. Głodny i zaniedbany, prosił o jedzenie. Felek ratował więc współtowarzysza niewoli, jak mógł. Andrej pochodził z zamożnej rodziny. Jego ojciec posiadał pięćset owiec, a tymczasem w niemieckiej niewoli życie ratował mu przymusowy młodociany robotnik z Polski, który częstował go kradzionymi jajkami i słoniną „organizowaną” ze spiżarni na strychu. Żołnierzy w niewoli karmiono tylko zupą z brukwi, kawą zbożową i suchym chlebem.

Macedończycy pięknie śpiewali. Długo lata pamiętała, jak na wyrębie w lesie Andrej, tańcząc, uczył go:

Kiša pada, kiša pada,  
Mokra je livada.  
Maši rala, maši rala,  
krala Petro gvardia.

Felek, w odróżnieniu od żołnierzy w niewoli, był dobrze karmiony, chociaż początkowo Heinrich kazał mu jadać w sieni. Ale żona miała z tym kłopot, bo musiała przygotowywać osobne posiłki. Po miesiącu strasznie się o to pokłóciła z mężem. On twierdził, że Polak nie może jeść z Niemcem przy jednym stole, ale ona pytała: dlaczego? On zaś tłumaczył, że jest kimś lepszym niż Polak, a powody tego znajdzie w książce *Mein Kampf* Hitlera. Ale ona w ogóle nie chciała z nim na ten temat rozmawiać. Obchodziło ją tylko to, że Felek jest chłopcem i musi zjeść, jeśli ma pracować. I to była cała jej filozofia. On zaś bał się jej. Ona po jednej z kolejnych z nim sprzeczek głośno wykrzyczała mu, że pochodzi z bardzo biednej rodziny, a przed ślubem miał tylko jedną kozę i konia. Natomiast auto, traktory, dwadzieścia krów i pozostałe konie kupił mu jej papa, ponieważ on sam był biedak. Podenerwowana tym wyznaniem długo nie mogła się uspokoić.

Zatem gdy powiedziała, że nie będzie osobno przygotowywać dla Polaka jedzenia, to on musiał wcześniej czy później przyjąć to do wiadomości. I ustąpił. Od tego też czasu jedli więc razem przy jednym stole. Kiedyś, jak Felek chleb smarował masłem, tak nie za cienko, bo w sierocińcu masła nie widział, to Heinrich go zrugął, że za grubo smaruje. Wtedy podenerwowany chłopak rzucił chlebem i dodał: „Danke schön! Ich wolle nicht Essen”<sup>8</sup> i wyszedł do sieni. Skończyło się to kolejną awanturą. Na koniec gospodyni wyszła do chłopca i wciągnęła go z powrotem do kuchni. Od tego czasu mógł chleb smarować ile i jak chciał.

Z czasem w Schwiederstorf pojawiła się dziewczyna z Polski. Na imię miała Czesia. Do sąsiedniego Elstorfu na roboty przymusowe przywiezieni zostali dwaj Polacy z kieleckiego i jeden spod Warszawy oraz jeszcze jedna Marysia. Chłop-

<sup>8</sup> „Dziękuję bardzo! Nie chcę jeść!”

cy mieli skrzypce i akordeon. W niedzielę wszyscy Polacy spotykali się u nich. Ich gospodarz był bardzo ludzki i pozwalał grać. Przy okazji także tańczyli. Po jakimś czasie Czesia zaszła w ciążę. Z kim – tego nikt nie wiedział, ale przed porodem wywieziono ją do Berlina i tam urodziła zdrowe dziecko. Niestety, Gestapo zabrało je od niej. Po jakimś czasie przyznała się, że nie wolno jej o tym mówić, bo jeśli dowie się o tym Gestapo, to ją zabije. W Niemczech działała w tym czasie w ramach SS instytucja Lebensborn eingetragener Verein – stowarzyszenie „Źródło życia”. Kierował nią Reichsführer-SS Heinrich Himmler – dowódca SS, policji i Gestapo. Jej działalność sprowadzała się do kradzieży lub odbierania polskim rodzicom dzieci i umieszczania ich w „domach dziecka”, w celu wypełnienia w społeczeństwie niemieckim luki powstałej po żołnierzach poległych na wojnie.

Co natomiast stało się z Lazarovičem, Felek nie wiedział. Jeszcze przed śmiercią Tity<sup>9</sup> pisał do telewizji w Skopje, że poszukuje Andřeja Lazaroviča, niewolnika jugosłowiańskiego w latach II wojny światowej. Posłał tam nawet jedyne jego zdjęcie, jakie miał, i nic. Potem nastąpiło trzęsienie ziemi. A może nie przeżył wojny? Mój rozmówca nigdy nie poznał jego późniejszych losów.

Po dwóch latach pobytu w Niemczech Felek umiał już orać, powozić końmi i wykonywać wszystkie prace polowe. Podział pracy w domu był taki: on karmił, czyścił i ubierał konie oraz doił piętnaście krów, a gospodyni Mimi doiła pozostałe piętnaście krów. Gdy czasem jechała do rodziny ze swoim maleńkim synkiem, to prosiła go, aby wydoił też za nią pozostałe piętnaście krów. Z wdzięczności przywoziła mu za to zawsze kawałek tortu. Jej mąż nigdy nic o tym nie wiedział. Świnie karmiła babka, mama Heinricha. Natomiast dziadek zajmował się obojętnością. Był kombatantem z pierwszej wojny światowej. Walczył pod Verdun i między nim a synem istniała duża różnica zdań. Gdzieś wyczytał albo może usłyszał o istnieniu hitlerowskich obozów koncentracyjnych i to mu się bardzo nie podobało. „Du tötest Menschen! Wofür ist das? Das haben wir nicht gemacht. Wir haben mit Waffen in der Hand gekämpft, und Sie töten Zivilisten”<sup>10</sup> – krzyczał. Heinrich odpowiadał mu, że „Jetzt gibt es eine andere Reihenfolge. Wir kämpfen für eine neue Ordnung in Europa und in der Welt. Was der Vater sagt, ist veraltet!”<sup>11</sup>. Kłótnie były okropne, a czasami o mało co nie pobiliby się. I co jeszcze ważne: dziadkowie chodzili do kościoła, a młodzi nie, mimo że na tzw. koblach, metalowych sprzączkach pasów wojskowych, wszyscy mieli wypisane: „Gott mit Uns”<sup>12</sup>.

Po wojnie Felek pisał do nich, twierdząc, że tam, w ich gospodarstwie, pozostała po nim jego niezapłacona praca. Fakt ten traktował wyłącznie jako sprawę prywatną, dotyczącą wyłącznie jego i nich. Z całą stanowczością twierdził, że to, iż oni są Niemcami, a on Polakiem, nie miało najmniejszego znaczenia. Liczy się przede wszystkim uczciwość jednego człowieka wobec drugiego. Za wykonaną ro-

<sup>9</sup> Josip Broz Tito (1892–1980) – od 1945 roku przywódca Socjalistycznej Federacyjnej Republiki Jugosławii.

<sup>10</sup> „Zabijacie ludzi! Po co to? Myśmy tak nie robili. Walczyliśmy z bronią w ręku, a wy zabijacie cywilów”.

<sup>11</sup> „Teraz jest inny porządek. Walczymy o nowy ład w Europie i na świecie. To, co ojciec mówi, jest przestarzałe!”.

<sup>12</sup> „Bóg z nami”.



botę wcześniej czy później trzeba zapłacić. I nieważne jest, czy Heinrich żyje, czy nie, ponieważ jego syn odziedziczył gospodarstwo i dług po ojcu. Ale syn prawdopodobnie nie chciał tego zrozumieć i nie odpisał mu. Po tej jednej próbie nawiązania kontaktu z rodziną Heinricha Feliks uniósł się honorem i więcej do nich nie pisał. Do końca życia uważał jednak, że z ich strony było to nieuczciwe. Po wojnie, jak był już w Anglii, myślał, że gdy wróci do Polski, to może dadzą mu na Śląsku jakieś gospodarstwo. Marzył o tym, aby prowadzić je na wzór niemiecki i w takim samym porządku. Ale to, jak z czasem stwierdził, były jego naiwne marzenia.

Do Elstorfu trzy razy w tygodniu przyjeżdżało kino. Polakom nie było wolno tam chodzić. Ale ponieważ odbywało się to w sąsiedniej wsi, gdzie nikt go nie znał, to wkładał białą koszulę, krawat, włosy smarował brylantyną i upodabniał się do miejscowych Niemców. Wszyscy myśleli, że jest Niemcem i wpuszczali go. Przed filmem wyświetlano tzw. Wochenschau<sup>13</sup>. Była tam m. in. kronika z frontu i wtedy zobaczył żołnierza niemieckiego na przedmieściach Moskwy. To była zima 1941/1942. Usłyszał wtedy: „Wir sind achtzehn kilometer nach Moskau”<sup>14</sup>. Przeraziło go to. Pomyślał: „Oni wygrają wojnę. Muszę uciekać. Wojna się skończy i już nigdy nie wrócę do Katowic, albo potrwa jeszcze pięć lat, a ja będę tu kiblował jak głupi”. Postanowił więc uciec. Gospodarz jako Ostgruppenführer SA w Schwiederstorf sprawował kontrolę nad wszelką działalnością meldunkową we wsi i miał w związku z tym w domu wszelkie do tego potrzebne druki i pieczęcie, a Felek umiał już pisać i czytać po niemiecku. Wykombinował więc sobie, że wypisze dla siebie zwolnienie, podbije pieczęcią Ostgruppenführera, podrobi podpis i ucieknie do Katowic. Tak też zrobił. Kiedy nikogo w domu nie było, wyćwiczył na gazecie podpis Heinricha i na wstępie napisał: „Der Bauer Heinrich Corsch in Schwiederstorf”<sup>15</sup>. A potem dodał, że bauer Henryk Corsch zwalnia go na dwa tygodnie do Katowic i podpisał.

Wiedział, że bez takiego pisma nie było sensu pokazywać się na stacji lub w pociągu. W wyznaczonym dniu, w nocy o godzinie czwartej, po cichu wstał, włożył koszulę, krawat, włosy posmarował brylantyną i pobiegł na dworzec. Dwa dni wcześniej sprzedał akordeon i rower, miał więc 100 marek. Najpierw kupił bilet do Hamburga. Najtrudniej było mu opanować własny strach. Na stacji kasjer, który zawsze meldował na Gestapo, jeśli zauważył kogoś podejrzanego, tym razem nie zareagował. Udało mu się. O szóstej z Hamburga do Krakowa przez Berlin, Wrocław i Katowice odchodził pociąg pośpieszny. W Hamburgu kupił następny bilet i wsiadł do pociągu. W tym czasie w pociągach pośpiesznych na trasie Wrocław - Katowice pełniła służbę żandarmeria wojskowa, żołnierze z takimi blachami na piersiach. On tymczasem stał przy oknie i twardo palił papierosy, udając obojętnego. „Kontrolle. Bitte Ausweisen”<sup>16</sup> – dolatywały do niego ich nawoływania. Widział ich kątem oka. Słyszał odsuwane drzwi przedziałów. Stał przy oknie i obojętnie zdawał się oglądać mijane widoki. I naraz poczuł, jak jeden z nich

<sup>13</sup> Die Deutsche Wochenschau – cotygodniowa niemiecka kronika filmowa, produkowana w latach 1940–1945.

<sup>14</sup> „Jesteśmy osiemnaście kilometrów od Moskwy”.

<sup>15</sup> „Rolnik Heinrich Corsch w Schwiederstorf”.

<sup>16</sup> „Kontrola. Proszę dowody osobiste”.

palcem stuknął go w plecy i powiedział: „Sie!”<sup>17</sup>. Odwrócił się i spokojnie, na ile tylko potrafił, odrzekł: „Jawoll!”<sup>18</sup>. „Bitte Ausweis” – usłyszał. „Ein moment”<sup>19</sup> – odparł i wyciągając kartę z kieszeni, podał ją jednemu z nich. Czytali z uwagą, spoglądając raz na pismo, raz na Felka. Zdawało się, że trwało to niemal całą wieczność. Ostatecznie, jak zobaczyli pieczętkę Ostgruppenführera SA, powiedzieli wreszcie: „Danke schön”<sup>20</sup> i weszli do następnego przedziału. Wiedział już, że mu się udało.

Po przyjeździe do Katowic chciał pójść do wujka. Niestety, ten już wtedy mieszkał w Chrzanowie. Przed drugą wojną światową był radcą prawnym na kolei, a w czasie pierwszej wojny służył w wojsku niemieckim, walczył pod Verdun. Dzięki temu Niemcy, mimo że szukali jego brata, jemu dali spokój. Do końca mu jednak nie wierzyli i kazali wyprowadzić się z Katowic do Chrzanowa, na teren Generalnej Guberni. Przez całą wojnę tam mieszkał. Natomiast ciotka mogła pozostać w Katowicach. Poszedł więc do niej na Plac Miarki i oświadczył krótko: „Wiecie co, ciotko, jo uciekł z Niemiec z robót przymusowych!”. „Jezu!” – zawołała ciotka – „Gestapo bydzie cie szukać!”. A on jej na to: „Ciotko, jo by chciół z wujkiem pomówić?”. Wujek w Katowicach miał jeszcze na kolei swoich kolegów z czasów przedwojennych i oni ostatecznie załatwili uciekinierowi robotę przy paczkach w magazynie na dworcu. Dostał nowe dokumenty i prawie przez pół roku pracował tam pod nowym nazwiskiem. Gestapo w tym czasie stale go jednak poszukiwało. Mieszkał u ciotki, z którą umówił się, że nie będzie nigdy dzwonił, tylko będzie pukał trzy razy. Jeśli mu nie otworzy, to znaczy, że ma uciekać. Kiedyś po pracy zapukał i ciotka mu nie otwarła. Nie wiedział, co ma zrobić. Stał i czekał. Na wszelki wypadek zapukał jeszcze raz i wtedy usłyszał, że ktoś idzie. Otworzyły się drzwi i ukazał się gestapowiec. Mocno złapał go za ramię i wciągnął do mieszkania. Miał jego zdjęcie i tylko czekał na niego.

W czasie okupacji w budynku przy ul. Jagiellońskiej 23, zajmowanym po wojnie przez Komitet Wojewódzki PZPR, a później Uniwersytet Śląski, mieściła się siedziba Prezydium Policji na Górnośląski Okręg Przemysłowy. Tam też mieściła się jedna z siedzib Gestapo. W podziemiach budynku było osiem cel i w jednej z nich zamknięto mojego rozmówcę razem z Rosjaninem. To był prawdopodobnie Żyd, bo gdy Felek częstował go kielbasą wieprzową, tamten odmawiał. Prosił jedynie o chleb. Wychudzonego i osłabionego współwięźnia Felek dokarmił dzięki produktom z otrzymanej od ciotki paczki żywnościowej, dostarczonej za pośrednictwem przekupionego przez kobietę strażnika.

Po trzech dniach zabrany został na przesłuchanie, gdzie zaraz na wstępie usłyszał: „Du bist das einzige Mark, du bist von der Arbeit in Deutschland geflohen. Sie hatten die Kühnheit, von dort wegzukommen. Warum hast du das getan?”<sup>21</sup>. Przerażony czekającymi go konsekwencjami z całą mocą uświadomił sobie, że jako sie-

<sup>17</sup> „Pan!”

<sup>18</sup> „Tak!”

<sup>19</sup> „Chwila”

<sup>20</sup> „Dziękuję bardzo”

<sup>21</sup> „Ty szpiku jeden, ty uciekłeś z robót w Niemczech. Ty miałeś beczelność uciec stamtąd. Dlaczegoś to zrobił?”



rota nie może na nikogo liczyć. Postanowił zdecydowanie zaprzeczać oskarżeniom i z uporem zaczął twierdzić, że nie uciekł, że dostał urlop i ma na to odpowiedni dokument. „Du hast es vorgetäuscht!”<sup>22</sup> – pieklił się gestapowiec. Chłopak jednak uporczywie twierdził, że nie podrobił, bo niby jak mógłby pieczętkę podrobić! W odpowiedzi na to otrzymał jedynie tak mocne uderzenie w policzek, że spadł z krzesła. Mimo to nie zmieniał zdania. Wiedział, że nie wolno mu się przyznać, bo wtedy czeka go wszystko, co najgorsze. Twardo stał więc przy swoim, mimo że przesłuchujący raz po raz bił go tak, iż wielokrotnie jeszcze spadał na ziemię. Za każdym razem jednak twierdził niezmiennie, że gospodarz dał mu tę przepustkę. W końcu, po godzinie przesłuchań, zniechęcony policjant pozwolił mu wrócić do celi.

Po dwóch tygodniach przetransportowano go razem z więzionym z nim rosyjskim Żydem do więzienia przy ul. Mikołowskiej. Tam przeraziły go przede wszystkim panujące warunki sanitarne, spróchniała podłoga, pluskwy i wszechogarniający smród. Za ścianą celi jakiś Węgier krzyczał: „Powiedz ludziom, że tu gilotynują! Powiedz!”. Niestety, wtedy nie wiedział jeszcze czy to prawda, czy prowokacja.

Po dwóch miesiącach wywołany został na plac więzienny, gdzie stało już około dwustu więźniów, m. in. Rosjanki i Ukrainki, w większości Żydówki w kufajkach. Po kilkunastu minutach zostali zapakowani na auta i zawiezieni na stary dworzec w Katowicach w okolice głównej bramy wejściowej. Tam już czekało na nich około dwudziestu policjantów. Na wstępie utworzyli szpaler i kolejno dwójkami zakuwali w kajdany wychodzących z aut. Następnie, waląc pejcem po plecach i krzycząc: „Los! Los!”<sup>23</sup>, biegiem kierowali wszystkich na peron. Tam stały już wagony więzienne, zakratowane i podzielone na małe metrowe cele. Na stojąco mieściły się w nich dwie osoby. Usiąść nie można było w żaden sposób. Można było tylko stać. Na peronie wszystkich rozkuli i przez dwa dni więźniowie jechali na stojąco, nie opuszczając swoich cel nawet do toalety. Zrozpaczone kobiety prosiły, wołały, że chcą się załatwić, ale Niemcy nikomu nie pozwolili wyjść. I tak dojechali do Berlina. Tam znowu czekał na nich szpaler policjantów. Bici i popychani, w atmosferze nieustających krzyków, ponownie zostali zakuci w kajdanki, po czym zapakowano ich do aut i zawieziono do podziemnego więzienia na Aleksanderplatz. Tam przeprowadzano selekcję więźniów, osobno wskazując osoby do obozów, fabryk Kruppa, na roboty itp. Ale zanim do tego doszło, Niemcy ustawili wszystkich czwórkami i zaprowadzili całą grupę na korytarz. Tam uformowali ich znowu w dwuszeręg (w pierwszym rzędzie stali mężczyźni, w drugim kobiety) i rozkazali rozebrać się do naga. Krzyczeli. Po chwili przyszli więźniowie, którzy zabrali ubrania przyjezdnych do parowni. Przez dobre pół godziny wszyscy stali nago na korytarzu, po czym ubrania dostarczone zostały z powrotem. Były jeszcze gorące. Rzucano je więźniom pod nogi i kazano się ubierać. Każdy szukał swoich rzeczy. Gdy więźniowie ubrali się, zostali skierowani do cel. Na początku zjechali na dół windą, a następnie przed każdym otwierały się drzwi, nowo przybyły dostawał kopniaka i wpadał z impetem do pomieszczenia bez okien.

---

<sup>22</sup> „Tyś go podrobił!”

<sup>23</sup> „Dalej! Dalej!”

Jego wielka sala z wentylacją i ustępem nie posiadała, niestety, łóżek i sieniów. Pod ścianami siedzieli zbici w grupki Francuzi, Anglicy, Rosjanie, Polacy i Żydzi, jednym słowem wszystkie nacje. Ledwo wpadł do tej celi, a raczej wjechał na brzuchu, zaraz wszyscy więźniowie przyskoczyli do niego i zaczęli wywracać mu kieszenie, szukając tytoniu. On, niestety, palił i miał przy sobie trochę niedopałków. Zrobili więc skręta i dawali pociągnąć jeden drugiemu. Jeszcze jeden dobrze się nie machnął, a już drugi wyciągał rękę i z gęby mu wyrывał, i tak ćmili. A on poszedł do kąta sali, usiadł na ziemi i patrzył na to wszystko z niedowierzaniem. Przy drzwiach siedzieli więźniowie – Niemcy. Po raz pierwszy widział coś takiego. To była nieznaną mu odmianą jego sierocińca. Oto niby panowie świata, a kiblowali tam tak samo jak on. Mieli co prawda do dyspozycji stolik i pełnili w celi rolę porządkującą, ale to nie miało zasadniczego znaczenia. To byli komuniści i zaraz na wstępie powiedzieli mu, że codziennie rano przychodzi o ósmej gestapowiec i wywołuje więźniów po nazwisku, i musi dobrze słuchać, bo jak usłyszy swoje nazwisko i nie wyjdzie, to tak dostanie żyłą, że raz na zawsze mu się odechce. Więźniowie codziennie dostawali ćwiartkę chleba i dwa razy kubek gorzkiej kawy, a w południe chochlę zupy z brukwi. Po czterech miesiącach, kiedy wyszedł z tego więzienia, dosłownie trzymał się ściany. Lepiej karmiony był w więzieniu w Hamburgu, gdzie następnie siedział przez kolejne dwa tygodnie. Ale to już było zwykłe więzienie policyjne, nie Gestapo. Tam już dostawał chleb z marmoladą, cieniutką zupę grochową i gorzką kawę.

Po dwóch tygodniach zaprowadzili go do komendanta więzienia. Ten kazał mu usiąść i oświadczył:

Wir wissen, dass Sie Deutsch sprechen können. Du bist jung, du kommst aus Schlesien, also haben wir vereinbart, dass wir dir noch eine Chance geben. Sie werden für den Gastgeber arbeiten, nicht für den, mit dem Sie zusammen waren, sondern für einen anderen. Und versuche noch einmal zu fliehen! Wenn du wieder wegläufst, wirst du nicht überleben! Jemand anderes wird sich um dich kümmern<sup>24</sup>.

Komendant zadzwonił, po czym do gabinetu wszedł przeszło siedemdziesięcioletni dziadek z laską i fajką w zębach. „No Opa! Neimen Sie bitte Platz. Das ist der Knabe. Er wird für dich arbeiten”<sup>25</sup>. „Wie alt bist du”<sup>26</sup>? – zapytał go Dziadek. „Siedemnaście” – odpowiedział. „Gut! Du wirst für mich arbeiten, weil mein Sohn in der Armee ist und niemand etwas zu tun hat!”<sup>27</sup>. „Jawoll” – Felek przytaknął. W rzeczywistości chodziło mu tylko o to, aby wyrwać się stamtąd i najeść. I tak wydostał się z więzienia w Hamburgu. Gdy wyszedł na ulicę, słońce go oślepiło. Czuł się jak pijany, a dostał jeszcze od dziadka cygaretkę. Wszystko to tak mocno uderzyło mu do głowy, że o mało co się nie wyrócił. Na miejsce jechali trzy stacje podmiejskim pociągiem. Jego nowa wioska Altmat była oddalona tylko dwadzieścia kilometrów od jego starego Schwiederstorfu.

<sup>24</sup> „Wiemy, że umiesz po niemiecku. Jesteś młody, pochodzisz ze Śląska, więc ustaliliśmy, że damy ci jeszcze jedną szansę. Będziesz pracował u gospodarza, ale nie u tego, u którego byłeś, ale u innego. A spróbuj jeszcze raz uciec! Jak jeszcze raz uciekniesz, to już nie przeżyjesz! Kto inny się tobą zajmie”.

<sup>25</sup> „Witajcie dziadku! Proszę siadajcie. To jest ten chłopiec. On będzie dla Was pracował”.

<sup>26</sup> „Ile masz lat?”

<sup>27</sup> „No dobrze! Będziesz u mnie pracował, bo mój syn jest w wojsku i nie ma kto robić”.

Nowe gospodarstwo okazało się jedną wielką ruiną. Zaniedbane i opuszczone, z zepsutymi kołami opartymi o ścianę stodoły, z kupą gnoju na środku placu, z jednym koniem i trzema krowami, było obrazem nędzy. Do obowiązków Felka należało codzienne odbieranie mleka od okolicznych gospodarzy i odwożenie go do mleczarni. Potem musiał doić krowy i zajmować się resztą. Za stodołą stała szklarnia i tam też wyznaczono mu miejsce do spania na snopku słomy. Gdy to zobaczył, to od razu po głowie zaczęła mu chodzić myśl o ucieczce i wolności. Znajdował się przecież blisko Holandii i Belgii. Granica nie istniała.

W tym czasie odbywały się już bardzo intensywne codzienne bombardowania Hamburga. Przez szyby w szklarni widział nocą światła reflektorów poszukujących na niebie przelatujących samolotów. Słyszał wybuchy bomb. Anglicy rzucali miny, które burzyły całe ulice. To było tak blisko od jego nowego domu. Kombinował więc na wszelkie sposoby, jak mógłby uciec. Chciał żyć. Poprzez pryzmat tego pragnienia widział otaczający go świat. Nigdy nie zaakceptował swojego niewolnictwa. Nieustannie podsycał w sobie gotowość do oporu, który z czasem stał się permanentnym stanem jego umysłu. Istniał jedynie dylemat, jaką formę walki przyjąć. Codziennie i na każdym kroku o tym myślał. Chęć przeżycia i przetrwania stanowiła dla niego równocześnie dość skuteczną zaporę wobec decyzji nierozważnych i do końca nieprzemysłanych. Tymczasem po miesiącu przyszło do gospodarza pismo, że ma chłopcu dać sto marek, ponieważ powołany został do wojska i ma się zgłosić z powrotem w Katowicach. Dla dziadka to był cios. Klął i nie przebierał w słowach, winiąc wszystkich dookoła, że znowu będzie sam i jeszcze na domiar złego musi chłopakowi dać sto marek na drogę. Felek natomiast cieszył się, że może wyrwać się stamtąd.

Po przyjeździe do Katowic pojechał do Chrzanowa do wujka, aby wspólnie z nim zastanowić się, co ma dalej robić. Perspektywa służby w wojsku niemieckim, będąca w istocie kolejną formą jego doświadczanego od dziecka sieroctwa, przerażała go. „Co ja mam robić?” – pytał wujka. „Przecież ja nie będę w niemieckim wojsku służył! Jak mnie wyślą na front wschodni, to co? Tam wszyscy giną. A jak ucieknę do ruskich, to mnie wezmą za szpiega i też zastrzelą”. Wiedział, że na wschód nie może uciekać. Tymczasem wujek, który w latach pierwszej wojny światowej służył w niemieckim wojsku i walczył we Francji, oświadczył mu: „Jak Ty im odmówisz po tych Twoich robotach i więzieniach, to nas tu wszystkich, ciotkę i mnie, pozamykają i wyślą do obozu. Zniszczą Ciebie i nas. Dobiorą się również do Twoich braci”. Oboje uczyli się w tym czasie jeszcze na piekarzy, jeden w Katowicach, a drugi w Chorzowie. I wtedy wraz z wujkiem ustalili, że zamelduje się w wojsku, ale nie będzie mu wolno uciekać na rosyjską stronę, bo jak nie Rosjanie, to Niemcy go zastrzelą. Wujek znał Rosjan, bo brał udział w kampanii wrześniowej i jedynie za sprawą złotego zegarka wydostał się z niewoli rosyjskiej we wrześniu 1939 roku i wrócił do Katowic. Jedyną zatem nadzieją zrozpaczonego chłopaka był front zachodni, chociaż wujek go ostrzegał: „Uważaj, będziesz śledzony. Oni na moment nie spuszczą Cię z oczu”.

Po dwóch tygodniach zgłosił się do wojska i otrzymał skierowanie do Hirschbergu – Jeleniej Góry. Do poboru zameldował się więc, jak większość jego pol-

skich rówieśników, nie z własnej woli i chęci, ale z przymusu człowieka będącego w sytuacji bez wyjścia, zniewolonego, pozbawionego możliwości lepszego wyboru. W wojsku od razu dostał „anioła stróża”. Początkowo tego nie wiedział, ale z czasem przekonał się, że jeden z sierżantów szczególnie go sobie upatrzył. To był starszy sierżant – Oberfeldwebel. Kiedyś kazał mu wysprzątać pokój w koszarach. Gdy Felek już to zrobił, tamten przyszedł na kontrolę. Wszystko było czyste, ale on już od progu wołał: „Es ist dreckig hier, Beisel, mit einem Wort Scheisse”<sup>28</sup>.

To była jawna niesprawiedliwość i prowokacja. Niedoświadczony rekrut zaproponował, nie będąc świadomym tego, że szeregowemu żołnierzowi nie wolno było mówić „nie”. W wojsku można było mówić tylko „Jawoll”. Za karę zmuszony został do zgłoszenia się na „Exerzierplatz”<sup>29</sup> w pełnym umundurowaniu, z gazową maską, z plecakiem i karabinem bez naboju. Wcześniej padał deszcz, było mokro i ślisko, zwłaszcza że nawierzchnia pokryta była gliną. Sierżant tymczasem z zapamiętaniem wołał: „Ich renne, gehe hundert Meter und zurück! Und Renn! Und runter! Und steh auf!”<sup>30</sup>. I znowu biegiem marsz i tak przez godzinę w tym błocie, z tym karabinem i w tej nieszczęsnej masce gazowej. Młody żołnierz biegał bez wytchnienia. „Los! Los! Schnell! Schnell!”<sup>31</sup>. Poruszający się resztkami sił chłopak, krańcowo zmęczony, był już u granic wytrzymałości. Gdyby miał w karabinie nabój, to prawdopodobnie zastrzeliłby swojego prześladowcę. Ale ten przeczuł to i na samym początku sprawdził, czy nie ma pocisku w lufie. Po godzinie tej mordęgi Felkowi wszystko było już obojętne. Na koniec Oberfeldwebel kazał mu jeszcze pobiec do sali i rozkazał, by Felek za pięć minut stawiał się przed nim czysty i wymyty. Chłopak musiał zatem wyprać mundur w zimnej wodzie, włożyć go i stawić się do raportu, a to wszystko w ciągu pięciu minut. W mokrym, bo dopiero co z wody wyciągniętym mundurze, stał przed swoim prześladowcą na bacność. Dopiero wtedy Oberfeldwebel poczuł zadowolenie.

Z czasem z Hirschbergu przeniesiony został do Belgii, wraz z 73. Infanterie Division – 73. Myśliwską Dywizją Piechoty. Żołnierze ubrani byli w to, co pozostało jeszcze w magazynach na składzie. Był już rok 1943. Kryzys zaopatrzeniowy w wojsku niemieckim dawał się już we znaki. Chłopaki między sobą mówili, że wyglądają jak kacapy. Felka szczególnie to mierziło, zwłaszcza że jako Polak znalazł się w niemieckim wojsku nie z własnej woli. Czuł się osamotniony. Szczególnie bolesna była zwłaszcza ta bezwarunkowa i sprzeczna z jego świadomością narodową przynależność do wrogiej mu nacji. Nie akceptował także dewizy „Gott mit Uns”, sprzecznej z Dekalogiem wyznawanej przez niego wiary. W uszach stale pobrzmiwały mu fragmenty katechizmu wkuwanego w sierocińcu: „Jam jest Pan Bóg twój, który cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli”, a następnie pierwsze przykazania Dekalogu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede Mną” i „Nie będziesz brał imienia Pana Boga swego nadaremno”. Tymczasem w Hirschbergu uświadomił sobie, że Niemcy służą innemu Bogu, który ochrania tylko ich i pro-

<sup>28</sup> „Tu jest brudno, bajzel, jednym słowem gówno”.

<sup>29</sup> Plac ćwiczeń.

<sup>30</sup> „Biegiem marsz sto metrów i z powrotem! I biegiem! I padnij! I powstań!”.

<sup>31</sup> „Dalej! Dalej! Szybko! Szybko!”.

wadzi od zwycięstwa do zwycięstwa. Przekazane mu w sierocińcu przez siostry przykazania Boże nabrały szczególnie gorzkiego smaku. Z czasem dowiedział się, że dewiza ta to stara tradycja pruska, zaczerpnięta ze Starego Testamentu dla celów politycznych i narodowych. W Niemczech pojawiła się już w XV stuleciu. Fryderyk I Pruski wybrał ją na sztandary wojskowe i detale umundurowania swojej armii, proklamując nowe królestwo. Od tego czasu używana była przez siły zbrojne Cesarstwa Niemieckiego, następnie Reichswehrę Republiki Weimarskiej i wreszcie przejęta została w celach imperialnych przez Wehrmacht III Rzeszy.

W Hirschbergu żołnierze zapakowani zostali w wagony towarowe i ruszyli na zachód. Fakt ten był źródłem ogromnej radości, jako że nie zostali przeniesieni na wschód. Wschodni front to było przekleństwo. W Brukseli wojsko przesiadło się do samochodów i skierowane zostało do Sint-Niklaas, miasta położonego w prowincji Flandrii Wschodniej. Tam ich dopiero zaczęto formować i przeznaczać do wybranych oddziałów wojskowych. Felek przeszkolony został do obsługi ciężkich karabinów maszynowych, tzw. schweres Maschinengewehr, w skrócie SMG. Jako rekrut w Jeleniej Górze ćwiczył to na SMG 34. To był karabin, którego lufa była osłonięta taką dziurawą rurą. Po bokach były dwie ręczki sprzęgnięte ze spustem. Karabin ten strzelał kilkanaście pocisków na minutę. Ale to był stary typ z 1934 roku. Późniejsze nowe SMG 42 miały dwie lufy i strzelały około tysiąca pocisków na minutę.

W koszarach Felek zaprzyjaźnił się z dwoma Ślązakami, Pawłem ze Świętochłowic i Oswaldem z Łędzin. Ale oni przydzieleni zostali do obsługi moździerzy. Po przyjeździe do Sint-Niklaas uświadomili mu, że gniazda karabinów maszynowych, usytuowane na pierwszej linii ognia, najwięcej też obrywają, moździerze zaś instalowane są trochę z tyłu i osłonięte lub okopane. Namówili go więc, aby się zgłosił razem z nimi do obsługi moździerza. Obaj mieli też serdecznie dość Niemców. Po wkroczeniu we wrześniu 1939 roku do Świętochłowic hitlerowcy rozstrzelali ojca Pawła, a jego mimo to wzięli do wojska. Po wojnie w komisariacie policji w Świętochłowicach zawieszono tablicę pamiątkową z nazwiskami pomordowanych, wśród których znajduje się imię i nazwisko jego ojca. W Wehrmachcie wszyscy trzej byli, ubranymi w mundury wroga. Nie mieli alternatywy. Podobnie jak całe pokolenie Polaków zamieszkujących Górny Śląsk, pozbawieni byli możliwości wyboru. Doświadczeni ciężką pracą, nie odczuwali potrzeby bohaterstwa. Doceniając znaczenie każdego przeżytego dnia i godziny, od dziecka uczyli się realnie mierzyć siły na zamiary. W wojsku, wzajemnie wspierając się, jeszcze w Sint-Niklaas kolidy wyjaśnili Felkowi, w jaki sposób zbudowany był moździerz, jak się go obsługuje, jak wyglądają pociski i jak oblicza się tor ich lotu. Kiedy więc formowano nową kompanię moździerzy, tzw. Granatwerfer, zgłosił się do ich obsługi, mimo że nie był odpowiednio przeszkolony i niewiele wiedział o ich funkcjonowaniu. Miał jednak świadomość tego, że nie może pozostać przy obsłudze karabinów maszynowych, bo zginie.

Oczywiście bez pomocy obu kolegów nie dałby sobie rady. Przemienne uczucie radości, że nie będzie musiał obsługiwać na pierwszej linii schweres Maschinengewehr, dominowało u niego w tych pierwszych miesiącach służby wojskowej.



Po dwóch jednak miesiącach jego formację wysłano w pobliże Strasburga, a następnie po miesiącu skierowano na Wał Atlantycki w okolice La Roshelle nad Zatoką Biskajską. To była już późna jesień 1944 roku. Tam też po raz pierwszy zobaczył morze, jego przyplawy i odpływy.

W odległości około dwóch lub trzech kilometrów od La Roschelle znajdowała się miejscowość La Pallice, z bazą niemieckich łodzi podwodnych tzw. U-Bootów. Był to bunkier wchodzący w morze na odległość około 100 metrów. Wysoki na 15 metrów, z grubymi na 5 metrów ścianami, po swoich bokach miał dodatkowo cztery wjazdy z morza. Do każdej takiej pieczary wpłynąć mogły dwie łodzie, razem osiem okrętów. To była niemiecka baza zaopatrzeniowa i remontowa łodzi podwodnych. Obok tego w La Pallice znajdowało się lotnisko polowe dla Messerschmittów. Pięć stało w hangarach, a pięć było nieustannie gotowych do lotów bojowych. Ich zadaniem było zwalczanie angielskich bombowców. Felek natomiast, razem ze swoją kompanią moździerzy, przydzielony został do ochrony portu przed planowaną inwazją. Wraz z kolegami zakwaterowany został w jednym z nadmorskich bunkrów. Każdy z nich przez cztery godziny spał i przez cztery godziny miał służbę. Na wyposażeniu takiego bunkra znajdowały się reflektory i maszynowe karabiny przeciwlotnicze.

Wtedy też Felek poznał miejscową dziewczynę. Na imię miała Jeannette. Pochodziła z Lotaryngii i znała dość dobrze język niemiecki. Spotkał ją w kinie na przepustce. Powiedziała mu, że jej ojca Niemcy zastrzelili w 1940 roku, a gdy poinformował ją, że jest Polakiem, to przyznała się, że nienawidzi Niemców. Z czasem też zaczęła wypytywać, ile U-Bootów przychodzi z morza, ile jest niemieckich i ile japońskich, ile samolotów, ilu ludzi, ile armat itp. Raz po jednym bombardowaniu pluton otrzymał rozkaz posprzątania lotniska i wtedy Felek pomyślał o tym, że te zniszczenia to była również i jego zasługa. Jeannette była we francuskim ruchu oporu. Sama przyznała się do tego, ale swojego nazwiska mu nie podała. To dla młodego żołnierza był bardzo romantyczny czas. Chodzili oboje nad morze i w chwilach odpływu zbierali małże. Francuzi jedli je na surowo z solą. Oni z Jeannette natomiast gotowali je. Smakowały im jak jajka. Czy była to miłość czy tylko zauroczenie? Trudno powiedzieć. Dość na tym, że skończyła się tak samo nagle, jak wszystko to, co niosła ze sobą wojna.

Niemcy bowiem zorientowali się, że ktoś informuje aliantów o stanie zaopatrzenia i wyposażenia bazy La Pallice. Wywieźli więc całą dywizję do Marsylii i rozlokowali ją na terenie tamtejszego ogrodu botanicznego. Tam członkowie Organizacji Todt, której zadaniem była budowa obronnych obiektów wojskowych, postawili dwa bunkry. Jeden z nich przydzielony został plutonowi Felka. Tam też w starym porcie, gdzie żołnierze niemieccy mieli obowiązek chodzić na patrol, nawiązał raz jeszcze kontakt z francuskim ruchem oporu. W jednej w knajpek, przy winie, nagle grupa młodych Francuzów zaczęła pytać go o dom, o rodzinę, a jak dowiedzieli się, że jest Polakiem, to zaczęły pytać go o liczbę wojska, liczbę bunkrów, uzbrojenie itp. On zaś udając, że nie wie, o co chodzi, odpowiadał. Od tego czasu mógł spokojnie chodzić po starym porcie. Dla Niemców był to bardzo niebezpieczny teren. Jednego tygodnia trzech niemieckich żołnierzy tam nagle zagi-



nęło. Pili wino i zniknęli na zawsze. Na patrol chodził z kolegami ze Śląska. Najczęściej kontaktował się z nimi Franco. To był młody Marokańczyk. Miał ciemną cerę i około dwudziestu pięciu lat.

W jego bunkrze załoga liczyła dziesięć osób. Komendantem był kapral, Unteroffizier (podoficer), chłop żonaty, dzieciaty, łysy trochę, mający może około lat czterdziestu albo i więcej. To był taki typowy poczciwy Niemiec, żaden tam hitlerowiec. Felek grał z nim często w szachy, z kolegami natomiast rozmawiał po polsku i to zarówno na ćwiczeniach, podczas marszu, jak i w czasie strzelania. Ale był też w jego plutonie taki jeden z Berlina. Nazywał się Gepert, był wychowankiem Hitler-Jugend i denerwował się za każdym razem, gdy tylko mówili po polsku. Kiedyś zaczął w bunkrze krzyczeć: „Warum schwargen du polnisch?”<sup>32</sup>. Odpowiedział: „Ja nie pletę po polsku, tylko mówię po śląsku. To nie jest mowa polska” i na koniec dodał: „Halt der Maul!”<sup>33</sup>. Niemiec jednak nie przestawał, kilka razy jeszcze upomniał Felka, aż wreszcie ten nie wytrzymał i odpalił mu: „Stul pysk, bo jak nie to cię w dupę tak kopnę, że ci się raz na zawsze srانيا odechce”. Wtedy Gepert nagle wstał, a leżał na dolnej pryczy, porwał ważący niemal kilogram celownik do mózdzierza (żołnierze nosili go osobno na pasku) i zawołał: „Du Schweine polnische!”<sup>34</sup>. Felek siedział do niego tyłem i zanim się zorientował, Gepert uderzył go celownikiem w tył głowy. Oczywiście chłopak od razu zalał się krwią, ale że był silny i zdrowy, szybko odwrócił się i zobaczył, że Niemiec chce go uderzyć po raz drugi. Wtedy tak mu przyłożył pięścią w zęby, że tamten poleciał razem z celownikiem pod pryczę. I mało tego, że upadł i stracił przytomność, to jeszcze wszyscy musieli go cucić. Nie mógł przyjść do siebie. Dopiero, gdy wylano na niego wiadro wody, to odzyskał przytomność.

Ledwo doszedł do siebie, dalej krzyczał: „Du Schweine polnische!”. Wydawało się, że bójka rozgorzeje na nowo. Ale koledzy stopniowo uspokoili obu. Nie bez znaczenia była także postawa kaprała, który od razu zawołał: „Was ist das? Was soll das heißen?”<sup>35</sup>. Od tego czasu Felek przestał grać w szachy z kapralem. Komendant musiał donieść o całym wydarzeniu kapitanowi kompanii, bo Gepert zagroził, że w przeciwnym wypadku on sam o tym zamelduje. A kapitan był strasznie cięty na Polaków. Warto dodać, że on nie nosił tzw. „Ritter Kreuz” – Krzyża Rycerskiego, ale „Deutsches Kreuz in Gold” – Niemiecki Złoty Krzyż. To był stary zawodowy żołnierz. Przyjeżdżał do nich zawsze na koniu. Gdy Felek stanął do raportu, to dostał miesiąc aresztu, mimo że próbował się tłumaczyć, że mówił po śląsku, a nie po polsku. Więziony był na trzecim piętrze miejscowego muzeum. Lichy posiłek dostawał tylko raz dziennie, a dodatkowo za karę musiał jeszcze rozbierać deski ze znajdującego się nad morzem stadionu sportowego. Chodziło o to, aby zasłaniająca widok na morze trybuna nie utrudniała artylerii ostrzału. Za karę przez cały miesiąc sam jeden pracował na tym stadionie.

<sup>32</sup> „Dlaczego pleciesz po polsku?”

<sup>33</sup> „Stul pysk!”

<sup>34</sup> „Ty polska świnio!”

<sup>35</sup> „Co to jest? Co to ma znaczyć?”

Po miesiącu wrócił do oddziału i zaraz na drugi dzień udał się na ćwiczenia strzeleckie, kapitan twierdził bowiem, że żołnierz musi umieć strzelać. Jeśli nie umie strzelać, to nie będzie nigdy żołnierzem. Równocześnie dodał, że kto z jego batalionu osiągnie najlepsze wyniki, ten dostanie miesiąc urlopu, dodatkowe kartki na żywność i pieniądze, tak aby mógł pojechać na miesiąc do Nicei. W batalionie było przeszło 1000 żołnierzy. I okazało się, że było tylko dwóch, którzy na 60 możliwych punktów zdobyli 58. To było strzelanie na 100 metrów w pozycji leżącej. Felek miał trzy dwunastki i dwie jedenastki.

Po powrocie ze strzelania kapitan wywołał najlepszych przed front batalionu i zszedł z konia, pogratulował zwycięzcom i równocześnie poznał Felka. „Und das bist Sie! Sie wurden für diese polnische Rede bestraft!”<sup>36</sup> – oświadczył. „Ja-woll, Herr Hauptmann” – odparł Felek. „Gut! Sie können sehen, dass Sie ein guter deutscher Schütze sind! Wir brauchen solche Soldaten!”<sup>37</sup> – dodał, a do zgromadzonych powiedział jeszcze: „Diese beiden sind ein Vorbild für unser gesamtes Bataillon. So führen Sie Ihre Aufgaben aus. Das sind echte Soldaten!”<sup>38</sup>. Oczywiście na następny dzień Felek dostał przepustkę, pieniądze, kartki na żywność, bilety do Nicei i na cały miesiąc wyjechał na urlop. Wreszcie udało mu się uciec od tych, którzy tak bardzo mu doskwierali.

Z Nicei pojechał jeszcze do Monte Carlo. To była wspaniała wycieczka. Zwiedził zamek księcia Rainiera<sup>39</sup>, widział oceanarium, zbiory botaniczne i historyczne. To było już lato 1944 roku. Z tego wyjazdu zachował zdjęcie zatoki zrobione z murów zamku. Tego rodzaju fotografie były zakazane, ale jakoś udało mu się ukryć za jedną z historycznych armat i nikt z pilnujących nie zauważył tego, że fotografował.

Po miesiącu musiał jednak wrócić do jednostki stacjonującej w porcie w Marsylii. Tym razem w wojsku był bardzo krótko, ponieważ niebawem wysłano go na kurs strzelców wyborowych. Wybranych zostało dwustu żołnierzy. Kazano im strzelać z odległości 300 metrów do tarczy wielkości głowy człowieka. W czasie 6 sekund na trzy strzały musieli trafić przynajmniej raz. Strzelano ze stoperem w rękę. Pięciu żołnierzom się nie udało, więc zostali odesłani z powrotem do oddziałów. Felek trafił raz. Kurs ukończył na przełomie lipca i sierpnia 1944 roku, tuż przed inwazją aliantów w drugiej połowie sierpnia. Jego jednostka, przerzucona w okolice Tulonu, broniła wzgórza porośniętego winogronami. One też, już w tym czasie dojrzałe, przez pewien czas były w zasadzie jedynym posiłkiem żołnierzy, ponieważ jadącą do nich kuchnię polową rozbił pocisk, w związku z czym skazani byli przez długi tydzień wyłącznie na winogrona.

Zgodnie ze swoim wyszkoleniem Felek został przydzielony do obsługi karabinu maszynowego. Na dole pod lasem widać już było lufy francuskich i marokańskich czołgów. Dreszcz go przeszywał, kiedy myślał, co się z nim stanie, gdy tamci odkryją jego stanowisko. Tymczasem moździerz, przy których znajdowali się jego

<sup>36</sup> „A to Wy! Wyście byli za tą polską mowę karani!”

<sup>37</sup> „No cóż! Widać, że jesteście dobrym strzelcem niemieckim! Takich żołnierzy potrzebujemy”.

<sup>38</sup> „Ci dwaj to wzór dla całego naszego batalionu. Tak macie wykonywać swoje zadania. To są prawdziwi żołnierze”.

<sup>39</sup> Rainier III (1923–2005) – książę z dynastii Grimaldich, władca Monako w latach 1949–2005.

koledzy, usytuowane były trochę dalej. Były wkopane w ziemię i osłonięte przed bezpośrednim ostrzałem. Dowodzący starszy sierżant, który przez cały czas go pilnował, powiedział mu wprost: „Wenn du den Posten verlässt und zu den Mörsern gehst, werde ich dich selbst erschießen”<sup>40</sup>. Do końca mu nie ufał i pilnował go na każdym kroku. Z tego też powodu przydzielił go do obsługi karabinu maszynowego, którego załogę stanowili wyłącznie rodowici Niemcy. On sam, wychowany w Hitler-Jugend, był szczególnie groźnym fanatykiem. Nazywał się Schlafmayer.

Wybawienie przyszło nagle i niespodziewanie, w momencie gdy nastąpił atak na zajmowane przez oddział pozycje. Najcięższe walki toczyły się w miasteczku położonym u podnóża góry. Naturalnie w takim wypadku istniało zwiększone zapotrzebowanie na sanitariuszy. Felek jako jedyny z całego oddziału oddelegowany został do pomocy rannym. Dostał flagę z czerwonym krzyżem i poleciał na dół do miasteczka. Nad głową raz po raz przelatywały mu pociski. Kiedy wreszcie dobiegł do pierwszych zabudowań, bitwa trwała już od kilku godzin. Otaczało go pełno rannych i zabitych. Zameldował się u dowodzących, dostał torbę i od razu musiał opatrywać rannych. Od czasu szkolenia w Jelenie Górze nie miał z medycyną najmniejszej styczności. Jego pierwszym pacjentem był chłopak ranny w tętnicę ręki. Próbuąc opatrywać mu kończynę, początkowo nie wiedział, co ma robić. Ranny tymczasem, niemal płacząc, prosił go: „Kollege, hilf mir!”<sup>41</sup>. Zawiązał więc gumą rękę powyżej rany i kazał iść na tyły. Na koniec polecił, aby po godzinie popuścił uchwyt i znowu zawiązał. I tak na tyły odesłał kilku rannych żołnierzy.

W tym czasie czołgi spod lasu zaczęły bić w stanowiska jego kolegów na górze i wtedy zginął Schlafmayer. Natomiast w samym miasteczku było coraz gorzej i trzeba było uciekać na własną rękę z powrotem do góry, do kolegów. Lecił z myślą, że jak teraz dopadnie Schlafmayera, to go zastrzeli, a kolegów namówi do wspólnej ucieczki. Nie myślał o tym, jak to zrobi. Wiedział jedynie, że nadeszła ta chwila i że nie można dłużej zwlekać, jeśli chciało się przeżyć wojnę. To, że Niemcy przegrywają, było już dla wszystkich jasne. Nie ukrywali tego nawet oficerowie. Jeden z nich, starszy sierżant sztabowy, który jeszcze w Marsylii domyślał się, że młody żołnierz ma jakieś kontakty z Francuzami w starym porcie, jednego razu zawołał go i powiedział wprost, że jest już po inwazji w Normandii, a on nigdy nie był zwolennikiem wojny.

Gdy wrócił na górę, zobaczył przede wszystkim martwego sierżanta. Leżał z przestrzeloną głową. Z dołu tymczasem szło natarcie aliantów. Była to ostatnia chwila, aby uciekać. Leżał ukryty w krzakach i widział swoich kolegów, Pawła i Oswalda. Jedyną przeszkodą był pozostający nadal przy moździerzu Gepert. Felek zdecydował więc, że zbliży się do kolegów na odległość 20 metrów i będzie osłaniał ich ucieczkę. Postanowił, że zastrzeli Niemca, jeśli będzie chciał im przeszkodzić. Koledzy jednak bali się. Przywykli do niemieckiej dyscypliny, nie mogli od razu tak łatwo się jej pozbyć. Jednak jego zdecydowana postawa i obecność, niejako już po drugiej stronie, była dla nich znacznym bodźcem. A dla niego najważniejsza była chęć życia, przemożna i niczym nieskrępowana potrzeba wol-

<sup>40</sup> „Jeśli opuścisz stanowisko i pójdziesz do moździerza, to własnoręcznie cię zastrzelę.”

<sup>41</sup> „Kolego, pomóż mi!”

ności, która nakazywała mu uciekać stamtąd jak najdalej. Położył się więc za kamieniami, karabin skierował w kierunku stanowiska kolegów i zawołał po śląsku: „Paweł, Oswald! Chodźcie do mnie!”. Gepert tymczasem wstał i zapytał: „Wer ist dort?”<sup>42</sup>. „To ja, strzelec!” – odrzekł Felek. A Niemiec dalej: „Was macht ihr da? Genau hier für mich!”<sup>43</sup>. W odpowiedzi usłyszał: „A co ty masz do mnie?! Do wódcy nie ma!”. Paweł i Oswald, okopani w głębokim na metr dole, z uwagą słuchali tego niecodziennego dialogu. Początkowo kilka razy powtarzane propozycje ucieczki nie skutkowały. W końcu zdesperowany Felek oświadczył, że skoro nie idą, to on sam ucieka, i na koniec dodał: „Zobaczycie, że tu zginiecie. Bo jak nie Marokańczycy, to Gepert was zastrzeli”. A przez lornetkę już było widać idące pod górę natarcie. Pomalowani na twarzach żołnierze sprawiali wrażenie dzikusów. Lęk przed ich nożami paraliżował każdego. Wtedy Felek zobaczył nagle, że koledzy biegną. Zdziwiony Gepert zaczął krzyżeć: „Wo los? Wo los? Halt, halt!”<sup>44</sup> i chwycił za pistolet. „Gepert, mam cię na muszce. Puść, bo strzelam!” – zawołał zdesperowany Felek. I Gepert powoli opuścił pistolet, a Oswald i Paweł tymczasem wpadli w krzaki i tyle ich Gepert widział. Bujne w tym miejscu krzewy winogron skutecznie pozwoliły im się ukryć. Podenerwowany Gepert z wściekłością wołał: „Schweine polnische!”<sup>45</sup>. Wówczas zdawało się, że ucieczka całej trójki z niemieckiego wojska zakończyła się sukcesem.

Przez całą noc błądzili po lasach. Doskwierał im lęk i pragnienie wody. Nad ranem zobaczyli znajdującą się przy leśniczówce, pomalowaną na białą studnię. Nie zważając na grożące im niebezpieczeństwo, podeszli do niej, chcąc się napić. Tymczasem stacjonował tam niemiecki pluton wojskowy, no i zgarnęli chłopaków. Niestety, cała trójka wcześniej zdarła już ze swoich mundurów niemieckie orły ze swastyką i metalowe sprzączki od pasa z napisem: „Gott mit Uns”. Na widok żołnierzy niemiecki kapral od razu w krzyk: „Was sind Sie wie eine?”<sup>46</sup>. Zaczęli kłamać, że pogubili się w lesie, że nie wiedzą, gdzie się znajdują, że była walka i oddział poszedł w rozsypkę. A kapral na to: „Wo haben Sie die Adler?”<sup>47</sup>. Oni na to, że czołgali się i musiały im odpaść. „Alle drei auf einmal!”<sup>48</sup> – zawołał tamten. No i tak wpadli ponownie w niemieckie objęcia.

Początkowo chciano im zabrać broń, ale nie oddali jej. Kapral postanowił więc zabrać ich do dowództwa do dalszego wyjaśnienia. Dziesięciu jego ludzi wiodło przerażoną trójkę w nieznanym kierunku. Byli zrozpaczeni. Los ironicznie sobie z nich zadrwił. Po dwóch kilometrach doszli na polanę, na której znajdował się punkt zborny wszystkich rannych, szpital polowy i punkt dowodzenia. Kapral, idąc do dowództwa, zdążył im jeszcze powiedzieć, że jeśli są dezertkami, to są polowy w ciągu dziesięciu minut orzeknie karę śmierci, a oni dostaną kulę w łeb. I poszedł.

<sup>42</sup> „Kto tam jest?”

<sup>43</sup> „Co wy tam robicie? Natychmiast tu do mnie!”

<sup>44</sup> „Gdzie idziesz? Gdzie idziesz? Stać! Stać!”

<sup>45</sup> „Polskie świnię”

<sup>46</sup> „Co wy za jedni?”

<sup>47</sup> „Gdzie macie orła?”

<sup>48</sup> „Wszystkim trzem naraz!”

Stali jakieś 300 metrów od domu, w którym mieściło się dowództwo. Z tyłu za nimi w odległości około 100 metrów był las, duży las, i szosa. W ich głowach przebiegała tylko jedna myśl: gdzie są Francuzi? Dlaczego nie atakują? Czy zdążą? Co zrobić? To są ostatnie godziny wojny, a oni zginą tak głupio i bezsensownie. Postanowili więc bronić się. Stali otoczeni grupą dziesięciu niemieckich żołnierzy. Liczyli przede wszystkim na zaskoczenie. W odległości kilku metrów od nich stał karabin maszynowy z taśmą i kilkoma skrzyniami naboji. Postanowili, że gdy kapral wyjdzie z domu i będzie się do nich zbliżał, to Felek złapie ten karabin, a pozostali pochwycą za taśmy z nabojami i będą się bronić. Tymczasem po piętnastu minutach oczekiwania, które były dla nich niemal wiecznością, nagle z lasu szosą na wprost na pełnym gazie zaczęły wyjeżdżać pancerne samochody aliantów. W ciągu kilku minut otoczyły wszystkich, a oni usłyszeli: „Hände hoch! Strecke die Waffen!”<sup>49</sup>. Z wielką ulgą odrzucili swoje karabiny. W ciągu kilku minut bez jednego wystrzału wszyscy poddali się, a następnie ustawieni czwórkami, skierowani zostali do pobliskiego miasteczka. Gdy wchodzili w jego przedmieścia, Francuzi pluli im w twarz. Po raz pierwszy wtedy w Ślązakach odezwał się ich zapomniany Bóg, nie ten ze znieawidzonych kobli „Gott mit Uns”, ale ten ich wykreślony, wymazany, uznany za coś gorszego i nieważnego. W duchu powtarzali więc sobie: „Boże, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”.

Po przyjeździe do obozu Felek natychmiast udał się do komendanta, francuskiego pułkownika, i opowiedział mu w skrócie historię trójki Ślązaków. Na koniec pokazał na mapie jedną ulicę w Marsylii, gdzie Niemcy na całej długości zainstalowali miotacze ognia, zakładając, że jak tylko wjadą w nią wojska aliantów, to po naciśnięciu guzika wszystko, co na niej się znajdzie, spłonie. Oczywiście pułkownik natychmiast zadzwonił do Marsylii, aby sprawdzono tę wiadomość. Gdy okazało się, że była prawdziwa, Felkowi i jego kolegom pozwolono ściągnąć niemiecki mundur i odłączono ich od reszty jeńców. Dostali czekolady, papierosy i pomarańcze, wszystko co tylko Francuzi mieli w kantynach. Pułkownik spytał ich, czy chcą zostać w wojsku francuskim czy też może dołączyć do wojska polskiego we Włoszech. Początkowo nie wiedzieli, co robić, ale jak zwykle w takich momentach zdecydował przypadek. Przyjechał bowiem do obozu w poszukiwaniu Polaków przedstawiciel Czerwonego Krzyża ze Szwajcarii. Z tej okazji zwołano na apel cały obóz i ustawiono wszystkich jeńców we czwórki. Wtedy przybyły urzędnik niespodziewanie zawołał do zebranych po polsku: „Polacy, trzy kroki wystąp!”. Cała trójka w tym czasie stała już wraz z żołnierzami francuskimi. Nagle zobaczyli, że spośród tych mniej więcej 5000 niemieckich żołnierzy wystąpiło około 1000 mężczyzn. Byli to chłopcy nie tylko ze Śląska, ale i z poznańskiego, z Pomorza, Pojezierza i Mazur. Zaskoczenie było ogromne. Tylu Polaków! Uwierzyć nie mogli własnym oczom. To było wprost nie do wiary. Tylu Polaków i prawie nikt nic o nich nie wiedział. A co najważniejsze, to oni sami nawzajem też niewiele o sobie wiedzieli.

Oczywiście zaraz padły następne komendy w języku polskim i wszystkich ustawiono w osobnym skrzydle, informując ich równocześnie, że oto do ich dyspozy-

<sup>49</sup> „Ręce do gry! Rzucić broń!”



cji oddaje się odpowiednią liczbę chlebów, masła i dwa ciężarowe auta winogron. Oczywiście nikt nikogo o nic nie oskarżał. Dowódcy nawet słowem nie wspomnieli o ich służbie w wojsku niemieckim. Rozumiano, że służba w Wehrmachcie Polaka – niewolnika i żołnierza w jednej osobie – to nie była sprawa wolnej woli, ale konieczność, o ile chciało się zachować dla siebie i najbliższych zwykłą szansę przeżycia. I tak oto niespodziewanie odnaleźli na południu Francji całą rzeszę rodaków. Po raz pierwszy od lat poczuli się ponownie wolni. Stojąc w gronie im podobnych, nie czuli się osamotnieni. Pojawiła się nadzieja powrotu do normalności. Gdy więc następowała likwidacja obozu, zdecydowali we trójkę, że wraz z innymi Polakami, tym razem już z własnej woli, wstąpią do wojska polskiego we Włoszech. Jego szeregi jawiły się im jako zręby odbudowywanego polskiego domu, jako realna i skuteczna próba przewyciężenia doskwierającego Ślązakom sieroctwa.

Francuski pułkownik dał im na drogę list polecający do kapitana amerykańskiego okrętu desantowego w porcie Saint-Raphaël i dodatkowo wyekwipował na drogę. Do Włoch ruszyli drogą morską. W konwoju szło pięć okrętów. Trasa prowadziła między Sycylią a Korsyką. Był koniec sierpnia 1944 roku. Po krótkim incydencie z niemieckim U-Bootem, nocą weszli do Zatoki Neapolitańskiej. Jej piękno, światła portu, ciepło sierpniowej nocy, wszystko to sprawiało, że uczucia młodych mężczyzn wypełniało przemożne pragnienie życia. Niestety, okrutny los sprawił, że w takich okolicznościach i w takim czasie musieli występować w roli żołnierzy. Ciesząc się życiem i pięknem otaczającej ich przyrody, chłonili łączywie każdy okruszek jej istnienia, złąknieni jej dobrotliwej obecności.

Po krótkich formalnościach jeszcze tego samego dnia dostarczeni zostali do neapolitańskiej placówki wojskowej II Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Władysława Andersa. Po krótkim powitaniu i złożonej relacji z przebytej żołnierskiej drogi, przydzieleni zostali do oddziałów stacjonujących w Tarenzie nad zatoką Tarencką. Po dokładnym spisaniu danych Felek dostał się do III Dywizji Strzelców Karpackich I Brygady, I Batalionu Moździerz, i natychmiast odesłany został na front. W grudniu 1944 roku był już w Predappio – w miejscowości, gdzie urodził się Benito Mussolini. To było już po zdobyciu Monte Cassino. Ze swoim batalionem zdobywał kolejno Rimini i następnie Castel Bolognese pod Bolonią, gdzie został ranny w nogę. To był dość prozaiczny wypadek. Po zmianie oddziałów hinduskich na linii frontu dostali się raz pod ostrzał artylerii niemieckiej. Pamiętał, że leżał na polu w bruzdzie ziemniaczanej i nawet nie poczuł, kiedy dostał odłamkiem w udo. Kryjąc głowę w zagłębieniu, myślał tylko o tym, aby przetrwać. Istniejące napięcie nerwowe było najlepszą formą znieczulenia. Dopiero, gdy ciekąca krew oblepiła mu mundur, zwrócił na nią uwagę. Poszukując rany, palcami wyczuł tkwiący w ciele odłamek żelaza. Na szczęście nie znajdował się zbyt głęboko. Nie podnosząc się z ziemi, Felek rozerwał mundur, namacał odłamek i wyrwał go z nogi. Potem spokojnie założył opatrunek i po skończonym ostrzale, utykając, wrócił na swój posterunek przy moździerzu. Kapral chciał go odesłać do szpitala, ale przy moździerzach nie trzeba było dużo chodzić, poza tym sam był przeszkolonym sanitariuszem, więc odmówił. Po miesiącu, nie opuszczając batalionu, wrócił do pełnego zdrowia.



Pod Castel Bolognese wydarzył mu się jeszcze jeden wypadek. Otóż jego moździerz zainstalowany został w polu pod osłoną wysokich na pięć metrów stogów słomy. W ich bezpośrednim sąsiedztwie ustawione zostały pociski po 300 sztuk w przymie. A ponieważ ostrzał prowadzili dość daleki, to każdy pocisk na ognie uzbrajali w dodatkową porcję prochu. Robiło się to w ten sposób, że u jego podstawy instalowało się w plastikowym pojemniku dodatkowy ładunek. Pociski dzięki temu zyskiwały na zasięgu. Pewnego słonecznego dnia, gdy Felek grał ze swoim kapralem Rejem w szachy, jeden z zabłąkanych pocisków niemieckich trafił w słomę. Oboje spadli z krzesel, a na pobliski stos moździerzy opadły resztki płonącej słomy. Lada moment mogły zapalić się pojedyncze dodatkowe pojemniki z prochem. Jedynie Rej nie stracił zimnej krwi. Chwycił leżący na ziemi koc i krzyknął: „Felek, trzymaj!”. I zanim chłopak zdążył pomyśleć, oboje nakrywali kocem płonąca słomę na stercie pocisków. A trzeba dodać, że pociski były już odbezpieczone. W duchu obaj widzieli się w progach niebieskiej bramy. Nie puszczając z rąk koca, głowy kryli w ramionach, licząc na cud ocalenia. Jakież było ich zdziwienie, kiedy z każdą sekundą mijającego czasu oczekiwany wybuch nie następował. Z niedowierzaniem, a równocześnie z obawą i niewiarą w cud ocalenia, z każdym oddechem, z każdym uderzeniem serca powracali z wolna do świata żywych, walcząc z pojawiającą się natrętnie myślą, że to już ostatni haust świeżego powietrza. Próba ucieczki w takiej sytuacji byłaby, naturalnie, formą samobójstwa. Pozostając z kolei na miejscu, godzili się na pewną śmierć przez rozerwanie na strzępy. Znikomy promil nadziei nie był żadną nadzieją. Ich decyzja o gaszeniu płonącej słomy na stojących w przymie pociskach wynikała przede wszystkim z braku czasu na jakąkolwiek refleksję, a po wtóre z braku innego sposobu działania i ocalenia. Tkwili więc przy tych pociskach, licząc sekundy, jak pojedyncze krople deszczu, ofiarowane im przez Boga w ostatnich chwilach życia. Każda z nich, w każdej chwili, mogła być ostatecznym pożegnaniem.

Z niedowierzaniem i niewiarą, gotowi natychmiast ponownie przykryć kocem tę całą kupę żelastwa, po kilkunastu minutach odsłaniali z wolna płonące przed chwilą resztki słomy. Przybyły po pewnym czasie starszy sierżant z niedowierzaniem słuchał ich relacji. Naturalną koleją rzeczy obaj podani zostali też w raporcie do odznaczenia Krzyżem Walecznych. Ale, niestety, nigdy nie dowiedzieli się, co spowodowało, że odznaczenie otrzymał tylko kapral Rej. Czy były to powody biurokratyczne, a może fakt oddelegowania w tym czasie Felka do szkoły podoficerskiej, trudno orzec. Dość na tym, że po raz pierwszy po latach odezwała się w nim jego bolesna struna śląska i zaczęła go dręczyć uporczywa myśl, że zadecydować o wszystkim mogło jego pochodzenie i przymusowa służba w wojsku niemieckim. Kolega z Krakowa Krzyż Walecznych otrzymał, a on, mimo zgłoszenia przez przełożonego, w odznaczeniu został pominięty. Długie lata bolała go ta niesprawiedliwość, która w zależności od miejsca urodzenia żołnierza stosowała odmienne miary w ocenie zasług i poniesionych ofiar. Z czasem jego emocje i namiętności opadły. Ból i gorycz doświadczeń starał się równoważyć radością istnienia. W pierwszych powojennych latach, będąc jeszcze na obczyźnie, tłumaczył to sobie tym, że wojna, wyzwalając drzemiące w człowieku najgorsze i najlepsze cechy oraz

instynkty, związane z cierpieniem i walką o przetrwanie, jest przede wszystkim czasem zaniku wartości moralnych. Stałe obcowanie ze śmiercią drugiego człowieka sprawia, że jej uczestnicy stają się nieczuli na krzywdę najbliższych.

Z czasem też uświadomił sobie, że jego szkoła w sierocińcu w znikomym stopniu uwrażliwiła go na problematykę narodową i patriotyczną, nie wskazywała wybranych wzorów zachowań patriotycznych. Jego związek uczuciowy i intelektualny z Polską, wzorem minionych pokoleń Ślązaków, był przede wszystkim uwarunkowany osobą przedwcześnie zmarłego ojca i jego doświadczeń życiowych, a także wyznawanych przez niego wartości. Wolny od tragicznej historiozofii narodowej, młody żołnierz Andersa utożsamiał się ze Śląskiem, to znaczy ze swoimi braćmi, tradycją ojca-powstańca, a także ulicami swojego miasta. Polska jawiła mu się zaledwie jako symbol i zlepek tego wszystkiego, co było mu najdroższe z lat dzieciństwa. On i jego koledzy, w znakomitej większości wolni od tragicznych powikłań narodowych, uformowani zostali przede wszystkim na gruncie wspomnień o zmaganiach powstańczych swoich najbliższych. Obraz walki, jaką toczyli ojcowie, nie uwzględniał możliwości podziału na lepszych i gorszych. Tym większe też było tam, na włoskiej ziemi, poczucie goryczy, że w wojsku podział ten nagle objawił mu się w tak nieoczekiwanej chwili.

Koniec wojny zastał całą trójkę w okolicach Bolonii, po zdobyciu której oddziały wojska polskiego zostały rozparcelowane po różnych zakątkach Włoch, w tym odesłane m. in. do położonego nad morzem Pesaro. Mieszkali w nadmorskich willach byłych faszystowskich dostojników włoskich i pilnowali jeńców niemieckich. Ci ostatni dziwili się, że pilnujący ich Polacy biegle mówią po niemiecku. W związku z tym bali się ich jak ognia, nawet wtedy gdy prowadzono ich na plażę. Wydawane po niemiecku komendy były bezdyskusyjnie wykonywane. Gdy próbowali, zdziwieni, między sobą coś komentować lub wyrażać zdumienie, wystarczyło jedno fuknięcie: „Ruhe!”<sup>50</sup> i zapadała cisza.

W Pesaro oddział stacjonował przeszło rok. Był to dobry czas dla polskich żołnierzy. Niestety, przyszedł rozkaz, że jednostka ma przenieść się do Anglii. Jego batalion przeniesiono do Cambridge. Tam przebywał do kwietnia 1947 roku. Żołnierze mieszkali w namiotach. Od czasu do czasu dorabiali sobie u miejscowych rolników. Naganiali zajęce w czasie polowania, uczyli się angielskiego, a w soboty zapraszani byli przez miejscowe panny i wdowy na organizowane przez nie potańcówki. W zasadzie każdy dzień mieli zajęty. Po latach Feliks z sentymentem wspominał zwłaszcza dwa kluby: Klub Starych Panien i Klub Młodych Panien. Kluby te konkurowały ze sobą w walce o względy polskich żołnierzy. Przyrządzone przez nie poczęstunki należały do najsmaczniejszych i wszystko było za darmo. Zazwyczaj panny dobrze sytuowane przyjeżdżały po chłopaków samochodami i zapraszały wyłącznie kawalerów. Żonaci zostawali, niestety, w obozie. W czasie zabawy i w trakcie tańców nauka angielskiego szła najlepiej. W efekcie wielu Polaków tak dokładnie poznało język wyspiarek, że w ostateczności pozostali tam na zawsze. Chociaż sprawy męsko-damskie nie były takie proste. Jeśli na przykład któryś z żołnierzy chciał bliżej i dokładniej „poznać” walory panny, to w pierw-

<sup>50</sup> „Cisza!”

szej kolejności panienka zabierała mu jego książeczkę wojskową. To był moment kapitulacji zarówno jednej, jak i drugiej strony. Od tej chwili chłopak był skreślony niejako z ewidencji kawalerów wojskowych, lecz w zamian mógł liczyć na określone względy swojej wybranki. Książeczka wojskowa była w zasadzie dość skutecznym zabezpieczeniem przed próbą ucieczki i podjętymi wobec płci pięknej zobowiązaniami. Feliks pamiętał, że w chwili wyjazdu do Polski, w ostatnim momencie zatrzymano wychodzący z portu statek i na ląd musiało zejść aż pięciu chłopaków. Nazwiska i numery ich książeczek wojskowych, podane przez Angielki, były wystarczającymi dowodami podjętych przez nich zobowiązań matrymonialnych. Zgromadzeni na statku żołnierze żegnali ich ze śmiechem, dziewczyny witały ich z płaczem, a oni z poczuciem klęski schodzili z pochyłymi głowami po chybotliwym trapie na ląd swojej nowej ojczyzny. Wtedy nie wiedzieli jeszcze, że to właśnie oni wygrali lepszy los.

Będąc jeszcze w Cambridge, Feliks początkowo marzył o tym, aby po wojnie pojechać do Australii, ale wtedy niespodziewanie spotkał się ze swoimi braćmi. Cała trójka była w armii Andersa, a żaden z nich o tym nie wiedział. Gdy w 1941 roku Felek powołany został do Wehrmachtu, to oni jeszcze uczyli się na piekarzy. Sądził więc, że pozostali w Polsce. Tymczasem obaj pod koniec 1944 roku, tuż przed wyzwoleniem, zostali przez Niemców wcieleni do wojska i wywiezieni na zachodni front. Tam też dostali się do angielskiej niewoli i zgłosili chęć wstąpienia do armii polskiej. W ten sposób po latach przypadkowo spotkali się w Anglii w mundurach wojska polskiego.

W kwietniu 1947 roku Anglicy już bardzo mocno naciskali na polskich żołnierzy, aby ci zdecydowali się, dokąd chcą jechać: do Australii, Kanady czy Argentyny. Tymczasem prawie połowa z jego plutonu chciała wracać do Polski. Na powrót do kraju nie zgłosił się natomiast żaden Polak, który przeszedł gehennę łagrów sowieckich. Ci znali już system komunistyczny. Pozostali wyrażali chęć powrotu pomimo towarzyszących im obaw. Felek należał do grona tych do końca niezdecydowanych. Chciał jechać do Australii, ale w tym czasie nie przychodziły stamtąd do jednostek wojskowych żadne zaproszenia. Mógł wyjechać do Kanady lub Argentyny, ale tam nie chciał. Postanowił więc wrócić do kraju.

Jego najmłodszy brat Herbert poznał dziewczynę i zamieszkał początkowo w Anglii. Felek umówił się z braćmi, że po przyjeździe do kraju da znać, jaka jest sytuacja, tak aby ewentualnie ich ostrzec. W razie niebezpieczeństwa to oni mieli go ściągnąć z powrotem do Anglii. Tymczasem złośliwy los szykował mu szczególnie bogatą dawkę goryczy. Wracał do kraju na pokładzie brytyjskiego statku z nadzieją na lepsze czasy i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Pełen otuchy i energii, chciał aktywnie uczestniczyć w odbudowie swojej wywalczonej ojczyzny. W Gdańsku, niestety, spotkał go pierwszy bardzo przykry zawód. W porcie nikt na powracających żołnierzy nie czekał i nikt ich nie witał. Przyzwyczajony od lat do orkiestr wojskowych, do wdzięczności okazywanej przez cudzoziemców, oczekiwał podobnych zachowań od rodaków w chwili powrotu do kraju po latach ciężkich zmagania frontowych. Tymczasem wszystkimi zmysłami niemal natychmiast odczuł, że rodzinny ląd był mu niemal wrogi. Nie tyle z rozpaczy, ile z niewiary

w to, co jego i kolegów spotkało, poszedł do pierwszej napotkanej knajpy napić się wódki. Ona jedna okazała się autentyczna i nieśmiertelna. Gorzko jednak smakował mu ten pierwszy sierocy toast, wypity za angielskie funty. Dominowała myśl, że to nie jest jego kraj, że to nie jest jego ojczyzna. Czuł się obco wśród ludzi, którzy mówili językiem jego dzieciństwa. Nikt mu tego nie mówił wprost, ale najbliższy czas potwierdził z całą brutalnością prawdę tego odkrycia.

W Katowicach na peronie wysiadł sam. Ubrany w brytyjski mundur, ze zdobytymi na piersiach odznaczeniami i medalem wojska polskiego, szedł tymi samymi schodami, tym samym przejściem do hali dworca, którym przed laty w szpalerze niemieckich oprawców, w kajdankach na rękach, pędzony był jako więzień. Satisfakcja zwycięskiego powrotu mieszała się z goryczą osamotnienia. Ludzie spoglądali na niego ukradkiem i mijali go w pośpiechu, niemal nie dostrzegając. I wtedy w hali starego dworca z całą ostrością, przypominając sobie przeżyte w nim upokorzenia, uzmysłowił sobie to, że wrócił do jakiegoś nieznanego mu sierocińca, którego regulamin dnia i nocy nie był mu znany. Przekleństwo razów, jakie otrzymał biegnąc do więziennego wagonu w 1941 roku, w murach tej dworcowej hali, zapiekło ponownie w kwietniu 1947 roku. Duch nieznanego mu czerwonego nacjonalizmu zdawał się sączyć swój śmiertelny jad w tych wszystkich, którzy na tym dworcu zmuszeni byli się pojawić. Znane mu Gestapo przyjęło oblicze Urzędu Bezpieczeństwa. Nikt nie miał odwagi nawet zapytać go, skąd wraca, czy nie spotkał przypadkiem syna, brata lub ojca. Spoglądał dookoła z niedowierzaniem. Znał tu prawie każdy kąt, każde niemal odbicie słonecznego promienia – i co z tego! Dusił się, w ciągu zaledwie kilku chwil wrócił niemal ponownie w koszmar okupacyjnej rzeczywistości. Po dwóch tygodniach z Bombaju brat przysłał mu widokówkę, na której napisał: „Tankujemy paliwo i obieramy kurs na Australię. Kilka godzin po Twoim wyjeździe z Glasgow przyszły zaproszenia z Australii. Pozdrawiam, Janek”.

Początkowo przez kilka miesięcy nie mógł dostać pracy. Zamieszkał u wujka na Placu Miarki. Pierwszą pracę otrzymał w Fabryce Armatur przy ul. Świerczewskiego. Przez długi czas mu nie płacono. Dostawał jedynie prowiant: mąkę, kaszę i chleb. Pracował jako magazynier i nie ukrywał swojego krytycznego stosunku do komunizmu. Denerwował go przede wszystkim panujący bałagan, kumoterstwo i przekupstwo, a także paralizujący ludzką inicjatywę strach. Próbował z tym walczyć. Nauczony wyrażać to, co myśli, mówił wprost o tym, co mu się nie podobało. Jego błąd polegał na tym, że nie docenił potęgi donosu i prowokacji.

Jednego dnia, było to w lutym 1948 roku, kierownik polecił mu pójść na dworzec, na tzw. wolne tory, ponieważ zapowiedziany został wagon łusek armatnich. Były one wykonane z kolorowego metalu, a fabryka przerabiała go na armaturę. Miał pilnować wyładunku, aby ktoś z zewnątrz czegoś nie ukradł. Mróz tego dnia był prawie dwudziestostopniowy. Po kilku godzinach stania na dworze był przemarznięty do kości. I wtedy podszedł do niego jakiś człowiek z prośbą, czy może sobie zabrać parę łusek. Tłumaczył, że potrzebne mu są do wyrobu ozdobnego okucia przy zakończeniu kuchennej łopatkii węglowej. Wartość i znaczenie jednej łuski, w porównaniu z marnotrawstwem panującym na terenie fabryki, były

niczym. Pozwolił zatem zabrać jedynie jedną łuskę spod wagonu, gdzie leżało ich kilkadziesiąt, i kazał mu odejść. Obdarowany z wdzięczności poczęstował go kieliszkiem wódki i poszedł. Za niecałe pół godziny nagle niespodziewanie zjawił się ubowiec z trzema kolejnymi facetami i oświadczył, że dał tym trzem, każdemu z osobna, po worku łusek. „Nic podobnego. Dałem tylko jedną łuskę, ale nie tym. Ich widzę pierwszy raz” – odparł podenerwowany, ale banda łobuzów z całą stanowczością twierdziła, że pozwolili im zabrać łuski, każdemu po pełnym worku. No i tak został aresztowany i oskarżony o współudział w kradzieży.

Początkowo siedział w więzieniu śledczym od lutego do lipca 1948 roku w Mysłowicach. Przez cały czas pobytu za kratkami przesłuchujący go oficer chciał, aby przyznał się do współudziału w kradzieży. On tymczasem nie podpisał żadnego zeznania. Wreszcie odbyła się rozprawa w sądzie wojewódzkim w Katowicach. Został oskarżony z artykułu 286, w świetle którego zarzucona została mu celowa działalność na szkodę ustroju socjalistycznego. Konsekwentnie do końca procesu nie poczuwał się i nie przyznawał do jakiegokolwiek winy. Argumenty obrony podnoszące jego zasługi wojenne, odniesione rany i zdobyte odznaczenia, a także nieskazitelna postawa w ciągu pierwszego roku pracy oraz fakt bezpodstawnych oskarżeń, nie były w ogóle przez sąd brane pod uwagę. Opinia prokuratora, że jako dywersant siłą chciał przeszkodzić w odbudowie kraju i zniszczyć tym samym zaufanie do władzy ludowej, była przyjęta jako pewnik. Wyrok, jaki otrzymał, opiewał jeszcze na półtora roku więzienia. W sumie zatem siedział dwa lata i trzy miesiące. Ośmiu miesięcy aresztu nie zaliczono mu na poczet kary. „Tak potraktowała mnie” – mówił z wyrzutem – „po latach niewoli i walki o wolność ta tak zwana nowa ludowa ojczyzna”.

Czasami myślał o tym, co go może łączyć z jego prześladowcami? Jakie obszary ducha i jaka skala wartości jest im bliska i czy można byłoby na niej zbudować pomost porozumienia? Niestety, ich bezwzględność i okrucieństwo skutecznie wykluczały wszelkie tego rodzaju opcje. Dręczyła go zatem przede wszystkim bezradność i niemożność sensownego przeciwstawienia się tym wszystkim, którzy kierowali jego losem, decydowali o jego istnieniu, jego życiu lub śmierci. Po rozprawie i ogłoszeniu wyroku zawieziono go do więzienia w Strzelcach Opolskich. Była to wtedy ze wszech miar wyjątkowa placówka więzienna. Służbę w niej w większości pełnili młodzi chłopcy, jego rówieśnicy, i nie kto inny, jak właśnie jeden z nich, prowadząc go po schodach do celi, powiedział mu, że takich jak on dywersantów to należałoby jak najszybciej rozstrzelać. I wtedy coś w nim ostatecznie pękło.

Po latach, gdy pomyślał, że te łobuzy nadal mieszkają w wygodnych poniemieckich willach, które służbowo otrzymali w latach czterdziestych, to długo nie mógł się uspokoić. Dręczyła go przede wszystkim refleksja, że wielu z nich przez całe późniejsze dziesięciolecia odcinało kupony ze swej brudnej i w gruncie rzeczy antypolskiej działalności, zwłaszcza że w czasie odsiadki tej tzw. kary, zmuszony był wraz z innymi więźniami przebudowywać i remontować te ich domy. Z uporem też zawsze podkreślał, że w mieszkaniach tych, podobnie jak i w obu gospodarstwach niemieckich, spoczywają jego wypracowane i niezapłacone należności.



Podobnie miała się sprawa z jego późniejszą pracą w Jaworznie, w tamtejszym tzw. obozie pracy, gdzie przewieziono go jesienią 1948 roku. Tam także wraz z innymi więźniami zmuszony był pod przymusem i za darmo budować tamtejsze osiedle mieszkaniowe. Warunki, w jakich przyszło mu żyć i pracować, sposób, w jaki straż traktowała więźniów, a także to, jak więźniowie byli żywieni, porównywał wyłącznie z łagromi stalinowskimi.

Z więzienia wyszedł w maju 1951 roku. Był bez mieszkania i szansy na jakąkolwiek stabilizację, zupełnie jak po ukończeniu szkoły podstawowej w 1938 roku. Zrozpaczony zaistniałą sytuacją, udał się ponownie do wujka mieszkającego przy Placu Miarki w Katowicach. Na szczęście jedna z jego córek wyszła za mąż za dyrektora MHD<sup>51</sup> i za jej wstawiennictwem Feliks dostał posadę kierowcy. Bez jej pomocy wszelkie próby podjęcia zatrudnienia byłyby skazane na niepowodzenie. Napiętnowany więzieniem, budził strach i niechęć. Przyjęcie go do pracy było dowodem cywilnej odwagi. Pracując w MHD, poznał swoją późniejszą żonę. Przez długie lata nie mógł dostać mieszkania. Za każdym razem, gdy tylko miał już przydział w ręce, mieszkanie otrzymywał ktoś inny. Podenerwowany napisał w tej sprawie do redakcji „Trybuny Robotniczej”, a było to już po październiku 1956 roku. Pismo trafiło do rąk Jerzego Ziętka. Ten wezwał go do siebie i wtedy Feliks opowiedział mu o swoich losach wojennych, w tym także o tym, jak i kiedy wrócił do Polski i jakie spotkały go tu krzywdy, których nikt mu nie nagroził. Widać było, że Ziętek zdenerwował się, ale zapytał, ile lat czeka na mieszkanie. Gdy zorientował się w sytuacji, chwycił za telefon i w ciągu tygodnia znalazło się dwupokojowe mieszkanie w budujących się Tychach. Feliks zamieszkał w nim w 1960 roku.

Doczekał się dwóch synów. Oboje, nauczeni smutnymi doświadczeniami ojca, mieszkają za granicą. Jeden z nich jest inżynierem mechanikiem i mieszka na stałe w Kanadzie, a drugi, technik budowlany, wyjechał w ślad za nim w latach dziewięćdziesiątych wraz z żoną i dziećmi. W Polsce pozostał Feliks z żoną. Wśród jego życiowych pamiątek legitymacja I Baonu Strzelców Karpackich należy do najdroższych. Na samym jej środku nadal widoczny jest czytelny podpis generała brygady Bronisława Ducha<sup>52</sup>.

Nosił ją zawsze na sercu i jeśli zdarzało mu się iść ulicami Katowic, wśród przejeżdżających pojazdów i nieznanymi przechodniów, czuł, jak z jednej strony bruk sączył mu gorzyc sierocych wspomnień, a małeńka legitymacja pobrzmiwała jak pęknięta struna, której dźwięk w latach wojny przypominał mu znaną z lat dzieciństwa melodię śląską. Łamały się wtedy jego słowa i zdania zbudowane w kolorach czerni, słowa niemieckiego więźnia i niewolnika, więźnia – żołnierza, i pojawiały się kolory pośrednie, wyrastające z tradycji ojca powstańca i siostr z bogucickiego sierocińca. Czuł je zawsze instynktownie wszystkimi swoimi zmysłami, a doskwierający ból istnienia w takich momentach nie paraliżował. Nie akceptował spotykającej go nieprawości i draństwa, ale też nigdy nie zdecydował się na bezwarunkową kapitulację. Nie zawsze towarzyszyło mu uczucie nadziei. Jego wiara w tymczasowość istniejącej rzeczywistości miała swój bliżej nieokreślony

<sup>51</sup> Miejski Handel Detaliczny – państwowa sieć przedsiębiorstw utworzona w Polsce w 1950 roku.

<sup>52</sup> Bolesław Bronisław Duch (1896–1980) – generał Dywizji Wojska Polskiego.



rodowód, którego genezy nie umiałby jednoznacznie wskazać. Czasami instynktownie niemal wiedział i już. Być może kierował się przekazaną mu w dzieciństwie przez siostry zakonne busolą dobra i zła, a może decydowała o wszystkim pamięć o ojcu. Ważne, że szczerze opowiedział mi o wszystkim, z czym przyszło mu walczyć i zmagać się w trakcie jego burzliwego losu. Osamotniony i pozbawiony wsparcia, po wojnie zmuszony był definiować i wyznaczać sobie najważniejsze cele w opozycji do otaczającej go rzeczywistości. Miarą tragizmu Ślązaków, walczących o Polskę w szeregach III Dywizji Strzelców Karpackich, był bowiem fakt, że nie tylko na wszelkie sposoby pomijano ich i szykanowano, ale i czyniono wszystko, aby wielu z nich nigdy nie powróciło do kraju.